10 fen.

10 fen.

DZIENNIK PORANNY

CENY OGŁOSZEŃ: Po tekście 1 mm w 1 szpalcie (szer. szp. 22 mm) 12 Rpf. W tekście 1 mm w 1 szp. (szer. szp. 69 mm) RM. 1.—. Drobne ogłoszenia za słowo (tylko dla osób prywatnych) Rpf. 08, pierwsze słowo tłustym drukiem Rpf. 12 (najwyżej do trzech słów). Drobne ogłoszenia handlowe za słowo Rpf. 10, pierwsze słowo tłustym drukiem Rpf. 15 (dopuszczalne także tylko najwyżej trzy słowa).

Rok I. Nr. 251.

Kraków, wtorek 24 grudnia 1940 r.

Nadesłane, a nie zamówione przez Redakcję rękopisy, będą zwracane autorom jedynie wówczas, gdy dołączone zostaną znaczki pocztowe na opłacenie przesyłki zwrotnej. — Prenumerata mies.: 2.25 RM. z odnoszeniem do domu 2.50 RM.

Mieszane komisje techniczne w ramach paktu trzech mocarstw podjęły działalność.

(§) **Berlin,** 23 grudnia. **Pakt trzech mocarstw pomiędzy Niemcami, Włochami i Japonją przewidywał utworzenie mieszanych komisyj technicznych, mających za zadanie wprowadzenie w życie tego paktu.**

Rządy trzech mocarstw zawarły w tym kierunku porozumienie, aby w każdej z trzech stolic utworzyć po jednej głównej komisji politycznej, oraz komisji wojskowej i gospodarczej.

Po ukończeniu wspólnych prac wstępnych wymienione komisje podejmą obecnie swą działalność.

* * *

Medjolan, 23 grudnia. Utworzenie technicznych komisyj paktu Trzech Mocarstw zostało powitane przez prasę północnowłoską jako **dalszy pozytywny krok na drodze do ustalenia współpracy trzech partnerów paktu.**

Sojusz wchodzi obecnie w fazę praktycznej realizacji — pisze medjolański **„Corriere della Serra"**. Pakt Trzech Mocarstw jest nietylko zwykłem potwierdzenie przyjaźni. Jest on nietylko publicznem stwierdzeniem faktu, że Niemcy, Włochy i Japonja posiadają liczne, wspólne i żywotne interesy, stanowi on nietylko dokument dyplomatyczny, obrazujący rzeczywistą sytuację, ale przedewszystkiem stanowi on jedyny w swoim rodzaju „dynamiczny czynnik polityki międzynarodowej, narzędzie wspólnej pracy i twórczej aktywności".

Z Paktu Trzech Mocarstw w Berlinie wywiodła się największa koalicja mocarstw militarnych, jaka kiedykolwiek istniała w historji świata — oświadcza **„Popolo d'Italia"** — potężny blok, silnie łączący z sobą trzy wielkie imperja, czyniąc z nich niezwyciężoną twierdzę woli i energji.

Japońska misja wojskowa w Niemczech i we Włoszech

Tokio, 23 grudnia. **Jak wynika z oficjalnego komunikatu japońskiego ministerstwa wojny, postanowiło dowództwo japońskie delegować na zaproszenie Niemiec i Włoch do tych krajów misję wojskową pod przewodnictwem generalnego inspektora biura lotnictwa wojskowego generała-porucznika Yanashita.**

Misja otrzymała pełnomocnictwo przestudjowania na miejscu doświadczeń, zdobytych w obecnie trwającej wojnie europejskiej. Pod nieobecność gen. Yanashita zastępować go będzie generał-porucznik Suzuki.

Japońska misja wojskowa opuściła w niedzielę rano Tokio, udając się pod przewodnictwem generała-porucznika do Berlina.

Stołeczne dzienniki japońskie wyrażają we wstępnych artykułach swe zadowolenie z faktu powstania komisji, stwierdzając, że jej działalność przyczyni się do tem większego zacieśnienia stosunków, łączących trzy mocarstwa.

Odparcie tendencyjnych informacyj propagandy brytyjskiej.

(§) **Berlin,** 23 grudnia. Brytyjska służba informacyjna podała ostatnio do wiadomości komunikat, **jakoby lotnicy niemieccy mieli bombardować Dublin i Belfast.**

Twierdzenie to **nie zawiera ani słowa prawdy.** Lotnictwo niemieckie **nie atakowało, ani nie bombardowało zarówno Belfastu, jak i stolicy irlandzkiego wolnego państwa Dublinu.** Niemcy i Irlandja nie znajdują się na stopie wojennej. Tego rodzaju kłamliwe komunikaty propagandy brytyjskiej mają jedynie na celu sianie nieufności i zamącanie stosunków międzynarodowych.

Miarodajne czynniki włoskie oświadczają **o urzędowem potwierdzeniu zatopienia angielskiego krążownika,** prawdopodobnie klasy „Kreta" lub „Leander" przez dwa włoskie samoloty torpedowe w okolicy Bardja.

Stwierdzono mianowicie w sposób bezwzględny, iż oświadczenia angielskiej propagandy, jakoby w okolicy Bardja nietylko nie zatopiono, ale nawet nie trafiono angielskiego krążownika, są z gruntu fałszywe, zwłaszcza, iż z samolotów rozpoznano z całą dokładnością kadłub tego statku wojennego.

Plany odbudowy Dunkierki.

Bruksela, 23 grudnia. **Burmistrz miasta Dunkierki, która podczas wojny została zamieniona w wielki stos gruzów, udzielił przedstawicielom prasy wywiadu na temat planów odbudowy miasta.**

Powiedział przytem m. in.: „Przedewszystkiem musimy usunąć ruiny, a na ich miejscu musi powstać pewnego rodzaju pustynia, poczem, po zakończeniu wojny będzie można wznieść tam nowe budowle. W tym celu Dunkierka zostanie obecnie podzielona na sześć wielkich działów. Według przedłożonych obecnie planów, istnieje zamiar założenia w centrum miasta kilku wielkich placów. Tak np. katedra nie będzie zasłonięta przez bloki domów, tak, jak to było dawniej. Podobnie i stara strażnica ma zostać odpowiednio odsłonięta. Przed ratuszem, który nie został uszkodzony, ma powstać również wielki czworobokplac, przez co w środku miasta powstanie rynek „Groode Markt", tak, jak to jest w każdem mieście flamandzkiem.

Przyjęcie na cześć niem. delegacji gospodarczej w Moskwie.

(=) **Moskwa,** 23 grudnia. **Komisarz ludowy handlu zagranicznego Związku Sowietów, Nikojan, urządził w sobotę wieczór przyjęcie na cześć niemieckiej delegacji gospodarczej.**

Ze strony sowieckiej wzięli udział w przyjęciu: zastępca przewodniczącego rady komisarzy ludowych i zastępca komisarza spraw zagranicznych Wyszyński, zastępca komisarza ludowego handlu zagranicznego Krutikow i Stepanow, oraz dalsi przedstawiciele komisarjatów zagranicznych i komisarjatu handlu zagranicznego. Ze strony niemieckiej byli obecni: ambasador hr. v. der Schulenburg, kierownik niemieckiej delegacji gospodarczej poseł dr Schurre z członkami delegacji, oraz przedstawiciele ambasady niemieckiej.

Poważne ostrzeżenie pod adresem Ameryki.

Komentarze prasy japońskiej do mowy Matsuoki.

(§) **Tokio,** 23 grudnia. **Wywody ministra Matsuoki w Towarzystwie japońsko-niemieckiem odbiły się głośnem echem w tutejszych kołach politycznych.** Również prasa poświęca tej mowie bardzo wiele uwagi, określając je jako **energiczne ostrzeżenia pod adresem Ameryki, prząd przystępowaniem do wojny.** Przedewszystkiem prasa podkreśla wyraźne stwierdzenie Japonji przynależności do paktu trzech mocarstw i wspólności polityki ze swymi sprzymierzeńcami.

Dyplomtyczne zwroty mowy Matsuoki — pisze „Japan Times and Advertiser" — nie mogły ukryć ani zmniejszyć powagi ostrzeżenia Ameryki przd zainicjowaniem kursu wojennego na Oceanie Spokojnym. Jakkolwiek mowa Matsuoki była wygłoszona do Japończyków i Amerykanów, to jednak była ona bezwątpienia zwrócona do Ameryki jako całości. **Zawierała ona radę wobec Ameryki, aby trzymała się zdaleka od wojny europejskiej i miała na uwadze możliwość starcia z Japonją, czyli wojnę ze wszystkiemi jej następstwami.**

„Tokio Asahi Szimbun" stwierdza, że Japonja w myśl mowy Matsuoki domaga się w stosunku do Azji takich samych praw, jakie Stany Zjednoczone zastrzegły sobie wobec Ameryki w myśl doktryny Monroego. Niezrozumienie stanowiska Japonji, stanowiącego dla narodu japońskiego kwestję życia lub śmierci, może pociągnąć za sobą wielkie niebezpieczeństwa. **Nominacja Nomury stanowi ostatnią próbę Japonji w kierunku wyjaśnienia stosunków japońsko-amerykańskich.**

„Jomiuri Szimbun" w związku z tem zwraca uwagę, że w Stanach Zjednoczonych nie wyczuwa się w najmniejszym stopniu przyjaznej atmosfery wobec Japonji. Nastroje nieprzyjaźni i wrogiego nastawienia wobec Japonji wzrastają codziennie w tym samym stopniu, co i nacisk gospodarczy ze strony Ameryki wobec tego kraju.

Wojna nie zostanie rozstrzygnięta w Afryce.

Szanghaj, 23 grudnia. Amerykańska agencja „Szanghaj Evening Post" podaje ciekawe szczegóły rozmowy swego korespondenta z korespondentem „International News Serwice" Karolem von Wiegand, który obecnie przebywa w Szanghaju. — **Korespondent von Wiegand oświadczył, że Niemcy bynajmniej nie zamierzają dążyć do panowania nad światem, są jedynie zainteresowani w Europie i Afryce.** Wiegand, który swego czasu mówił z kanclerzem Hitlerem, oświadczył, że sytuacja obecna Niemiec jest znacznie lepsza, jak w wojnie światowej, kiedy to żołnierze niemieccy musieli walczyć na siedmiu frontach, a przytem podkreślił wzmożoną produkcję łodzi podwodnych. **Zdaniem Wieganda, wojna nie zostanie rozstrzygnięta w Afryce, to też zbijał on przesadzone komunikaty angielskie o postępach w Afryce,** wskazując na to, że kierunek, w którym Anglicy się posuwają obejmuje pustynię, która na przestrzeni wielu kilometrów nie posiada żadnych osad ludzkich.

Greceanu rumuńskim ministrem spraw zagranicznych.

Bukareszt, 23 grudnia. **Nowym ministrem spraw zagranicznych Rumunji zostanie Konstantyn Greceanu, który przed kilkoma tygodniami został wysłany do Berlina na stanowisko posła rumuńskiego.**

Dziennik legjonistów „Curentul", o którym można sądzić, że jest dobrze poinformowany, wyjaśnia, iż Greceanu wkrótce zostanie powołany przez szefa państwa na stanowisko ministra spraw zagranicznych. Szef państwa gen. Jon Antonescu, po ustąpieniu ks. Sturdzy ze stanowiska ministra spraw zagranicznych, objął tymczasowo ten resort osobiście.

Zaprzysiężenie nowego prezydenta Finlandji.

(=) **Helsinki,** 23 grudnia. **W sobotę odbyła się w parlamencie uroczystość zaprzysiężenia nowoobranego prezydenta republiki, Rytiego.**

Po wspomnieniu pośmiertnem na cześć prezydenta Kallio i po akcie zaprzysiężenia, zabrał głos prezydent Ryti, który w krótkiem przemówieniu podniósł, iż będzie kontynuował pracę nad zjednoczeniem narodu. Zwróciwszy uwagę na reorganizację życia gospodarczego, oświadczył Ryti, że fiński naród będzie utrzymywał poprawne stosunki ze wszystkimi sąsiadami i narodami. W szczególności zależy mu na przyjaznych i pełnych sąsiedzkiego zaufania stosunkach ze Związkiem Sowietów, oraz na przyjaznych stosunkach z Niemcami, które nadal będą rozszerzane i umacniane.

Brytyjska flota przeciążona rozlicznemi zadaniami.

(=) **Berlin,** 23 grudnia. Z jednego z doniesień nadeszłych z Rio de Janeiro wynika jak wielkie obciążenie ma do pokonania marynarka angielska celem sprostania nałożonym na nią zadaniom.

Według tego doniesienia do Rio przybył z Curacao holenderski parowiec pasażerski, „Crijnssen" poj. 4.298 ton, płynący pod flagą angielską **celem przewiezienia do Kenji ogółem 50 Anglików zamieszkałych stale w Brazylji, zaciągniętych obecnie do służby wojskowej.**

Dalej donoszą z brytyjskiej Afryki wschodniej **o wylądowaniu tam wojsk z Afryki południowej i Wybrzeża Złotego w Afryce zachodniej,** celem wzięcia udziału w operacjach przeciw włoskiemu krajowi Somali. Również tego rodzaju transporty morskie absorbują jednostki marynarki brytyjskiej.

Norweskie załogi na pokładach brytyjskich statków.

(=) **Oslo,** 23 grudnia. Wielkie rozgoryczenie w Norwegji wywołała wiadomość o tem, że **do obsługi starych amerykańskich kontrtorpedowców, pamiętających czasy wojny światowej, a będących obecnie na służbie angielskiej, użyto załóg, składających się z marynarzy norweskich.**

Zatonęło 10 statków norweskich.

Oslo, 23 grudnia. Wychodzący w Oslo dziennik „Aftenposten" donosi o stracie **7 statków norweskich,** będących na żołdzie angielskim. Są to motorowce, względnie parowce „Beaufurt" poj. 5.035 br. t. r., „Svein Jarl" poj. 1.908 br. t. r., „Stalhelm" poj. 1. 298 br. t. r., „Kong Halfdan" poj. 1.456 br. t. r., „Balzac" poj. 962 br. t. r., „Tres" poj. 946 br. t. r. i „Gallus" poj. 338 br. t. rej. Dotychczas brak szczegółów i wiadomości co do miejsca zaginięcia wspomnianych statków.

Według doniesienia norweskiej „Gazety Handlowej i Żeglugi zaginęły **trzy dalsze okręty norweskie,** żeglujące pod kontrolą angielską. Są to: parowiec-cysterna „Havboer" poj. 7.614 ton, oraz parowce „Djana" pojemności 1.154 ton i „Hundwaag" poj. 690 ton.

Amerykańska radjostacja Mackay przejęła sygnały alarmowe **norweskiego parowca towarowego „Varangberg"** poj. 2.842 ton. Okręt ten w odległości około 450 mil na zachód od wybrzeża Irlandji został zaatakowany przez pewną łódź podwodną.

Więcej bombowców! — woła lord Beaverbrook.

Berno, 23 grudnia. W ostatniem swojem przemówieniu, które miało miejsce w ub. wtorek, oświadczył angielski minister produkcji lotniczej lord Beaverbrook, że ostatnie naloty niemieckie spowodowały w produkcji lotniczej pewne trudności, pocieszył jednak swoich słuchaczy, że mimo to produkcja lotnicza Anglji nie zawiodła rządu i odbywa się planowo. Mimo swych zapewnień, zwraca się kilkakrotnie do robotników z wezwaniem, aby budowali jak największej bombowców, większe i z większemi motorami, prosząc ich równocześnie, aby wzmogli w miarę możności swoje wysyłki.

W mowie swojej wspomniał lord Beaverbrook również o wysiłkach Stanów Zjednoczonych dla Anglji, podając, że komisja angielska, która udała się do USA celem zakupna aparatów, a składająca się z 350 osób, nabywa wszelkie materjały przydatne do produkcji lotniczej. Lord Beaverbrook starał się w swojej mowie zachęcić robotników do tem większych wysiłków, zapowiadając niemiecką inwazję na wiosnę przyszłego roku.

Niezadowolenie Anglji z powodu Tangeru.

Londyn, 23 grudnia. Rozwiązanie międzynarodowej administracji w strefie Tangeru przez rząd hiszpański, stanowiło ponownie przedmiot licznych interpelacyj do rządu na środowem posiedzeniu Izby Gmin.

Jak wynika z odnośnych informacyj w ciągu dyskusji, jaka wywiązała się na tem tle ujawniło się niedwuznacznie wzrastające niezadowolenie Anglji w stosunku do Hiszpanji.

11.424 osób zginęło na ulicach Londynu.

Londyn, 23 grudnia. Minister komunikacji podał do wiadomości cyfry odnoszące się do ilości osób, które zaginęły wskutek katastrof komunikacyjnych. Według tych danych **w ciągu pierwszych 14 miesięcy wojny na ulicach poniosło śmierć 11.424 osób.** Oznacza to wzrost o 3.151 osób w porównaniu z ostatniemi 15 miesiącami przed wojną.

„Komitet pokoju" w Stanach Zjednoczonych.

Waszyngton, 23 grudnia. Poseł demokratyczny Kennedy zgłosił wniosek w sprawie powołania do życia przez Izbę reprezentantów „komitetu pokoju" złożonego z członków wszystkich stronnictw.

Komitet ten ma za zadanie wynalezienie środków i dróg, celem utrzymania i zabezpieczenia pokoju dla Stanów Unji amerykańskiej.

Meksyk eliminuje filmy o nastawieniu antyniemieckiem.

Mexico City, 23 grudnia. W czwartek wieczorem doszło do żywiołowych demonstracyj publiczności w kinie „Cine Orfeon", w którem wyświetlano film antyniemiecki. Był to piąty w ostatnim czasie wypadek, iż publiczność zaprotestowała przeciwko wyświetlaniu filmów podżegających.

Kiedy na ekranie ukazały się główne postacie filmu, odezwały się okrzyki w rodzaju: „Precz z żydami", „To jest film żydowski". Gdy na miejsce demonstracji przybyła policja, sala kina była do połowy opróżniona; mimo to jednak dokonano aresztowań.

Ponowny atak w wielkim stylu na Liverpool.

(=) Berlin, 23 grudnia. Naczelna komenda armji niemieckiej komunikuje:

W nocy na 21 grudnia silne eskadry samolotów bojowych zaatakowały — jak już doniesiono — Liverpool, odnosząc wielki sukces. Ponadto lotnictwo obrzuciło bombami ważne objekty wojenne w Londynie, Bristolu i Southampton oraz pewną liczbę lotnisk.

Zakładanie min przed portami brytyjskiemi trwało w dalszym ciągu. W ciągu dnia działalność powietrzna ograniczyła się do zbrojnych lotów wywiadowczych, przyczem Londyn był ponownie objektem ataków bombowych.

Baterje dalekonośne armji lądowej i marynarki wojennej ostrzeliwały wczoraj wieczór skutecznie nieprzyjacielski transport konwojowany, płynący tuż koło wybrzeża angielskiego, oraz port w Dover.

W nocy na 22 grudnia ciężkie samoloty bojowe zaatakowały w wielkiej ilości ponownie Liverpool. Zdołano zaobserwować pożary wielkich rozmiarów na zaatakowanych obszarach, głównie w objektach dokowych. Lotnicy bojowi włoskiego korpusu powietrznego zaatakowali z dobrym skutkiem objekty portowe w Harwich.

Tej samej nocy nieprzyjaciel zrzucił w kilku miejscach na terenie Rzeszy bomby rozpryskujące i zapalające. W dwóch miastach w Niemczech zachodnich powstały nieznaczne szkody w budynkach. Ważnych objektów wojennych nie trafiono. Straty wśród ludności cywilnej wyniosły 1 zabitego i 11 rannych.

Lotnicy myśliwscy zestrzelili wczoraj dwa nieprzyjacielskie samoloty bojowe, jeden samolot niemiecki zaginął.

Według dodatkowego meldunku, w dniu 12 grudnia zaatakowano z powietrza koło wschodniego wybrzeża Anglji trzy nieprzyjacielskie okręty handlowe łącznej pojemności 15.000 ton. Udało się przytem zatopić dwa okręty, płynące pod konwojem. Należy się również liczyć ze stratą trzeciego okrętu.

Wielka fabryka aluminjum w Anglji zbombardowana.

Berlin, 24 grudnia. Naczelna komenda armji niemieckiej komunikuje:

Działalność lotnictwa ograniczała się wczoraj za dnia do ogólnego i zbrojnego wywiadu. Jeden z samolotów wywiadowczych zaatakował w locie zniżonym największe brytyjskie zakłady aluminium Fort William, w północnej Szkocji, mimo silnej obrony ze strony artylerji przeciwlotniczej. Przez celne trafienie w najważniejsze urządzenia oraz przez następujące po nich wybuchy, zakłady zostały ciężko dotknięte.

W nocy na 23 grudnia silne formacje ciężkich samolotów bojowych zaatakowały wybitne urządzenia przemysłowe w Manchester z wielkim skutkiem. Olbrzymie ogniska pożarów w urządzeniach fabrycznych i składach były następstwem ataków. Poza tem zaatakowano ważne ze względów wojennych objekty w Londynie, Bristolu, Liverpoolu, Southampton, Portsmouth i w innych miastach.

Minowanie brytyjskich portów było kontynuowane.

Nieprzyjacielskie samoloty zrzuciły ubiegłej nocy małą ilość bomb rozpryskujących i zapalających na niewielu miejscach w zachodnim terenie pogranicznym. Powstała jedynie nieznaczna szkoda materjałowa w domach mieszkalnych i wśród ludzi.

Samoloty myśliwskie zestrzeliły wczoraj jeden nieprzyjacielski samolot. Jeden samolot niemiecki nie powrócił.

Podczas ataku na zakłady aluminium Fort William, wyróżniła się załoga samolotu wywiadowczego, komendant porucznik Fidorra, kierowca samolotu porucznik Muendel, radjotelegrafista sierżant Bothe, i strzelec pokładowy podoficer Lemberg.

Sytuacja wojenna w Albanji.

Belgrad, 23 grudnia. Sprawozdawcy dzienników jugosłowiańskich donoszą o wielogodzinnym pojedynku artyleryjskim, rozgrywanym na albańskim froncie północnym w okolicach Pogradec, o włoskich nalotach falowych na Pogradec i zaplecze, dalej o zażartych walkach na froncie południowym wśród greckich ataków i jeszcze energiczniejszych włoskich atakach lotniczych.

Na froncie północnym

w piątek pogoda wyjaśniła się po raz pierwszy od dłuższego czasu. Przez cały dzień świeciło słońce i działalność wojenna natychmiast rozpoczęła się. Wojska greckie w rejonie Pogradec w dolinie Szkumba, gdzie leży śnieg na 1—2 m i gdzie panują straszliwe mrozy, wykopały sobie w śniegu wielkie schrony, w których palą ogniska, aby nie zamarznąć.

Gdy w piątek nareszcie zabłysło słońce, natychmiast z obydwu stron zaczęła się działalność artylerji. Od godz. 8 do 14 słyszało się nieprzerwany huk dział od strony doliny górnej Szkumby i z doliny Devoli. Ow. godz. 15 ogień artylerji na odcinku Pogradec został wzmocniony. Lekka artylerja górska włoska ostrzeliwała przez godzinę stanowiska greckie. Baterje greckie odpowiedziały ogniem. **Pogradec leży w gruzach, a ludność schroniła się do wsi okolicznych, względnie wycofała się do Korczy.**

Pogradec i zaplecze zostały pozatem, według doniesień „Polityki" zbombardowane w ciągu piątku przez włoskie bombowce. Ten sam dziennik donosi, że włoskie wojska na froncie północnym zostały zluzowane przez wypoczętych żołnierzy. Także i Grecy mieli otrzymać posiłki.

Z frontu południowego

donoszą jugosłowiańscy korespondenci, że wprawdzie toczą się zażarte walki, ale Grecy nie zdołali posunąć się naprzód. Włoskie bombowce zbombardowały greckie koncentracje wojsk i stanowiska za frontem. Pod Chimara na froncie południowym od trzech dni toczą się zażarte walki.

Według dziennika „Vreme" na każdy grecki atak **Włosi odpowiadają jeszcze energiczniejszym kontratakiem.** Na północ od Tepelene Grecy znajdują się w dobrej pod względem strategicznym sytuacji na stokach pogórza Merech, skąd też artylerja grecka w ostatnich dniach nieustannie bombarduje miasto. Wszelkie jednak wysiłki Greków, trwające od 10 dni, a zmierzające do zajęcia Tepelene, natrafiły na zacięty opór Włochów i zostały zniweczone.

Angielski krążownik zatopiony przez Włochów.

Rzym, 23 grudnia. Włoski komunikat wojenny z niedzieli brzmi następująco:

Główna kwatera armji włoskiej komunikuje:

W rejonie granicznym Cerenajki obustronna działalność artyleryjska.

Jedna z włoskich jednostek morskich ostrzeliwała na wybrzeżu nieprzyjacielskie oddziały zmotoryzowane. Jedna torpedówka zestrzeliła nieprzyjacielski hydroplan torpedowy.

Włoskie oddziały lotnicze gwałtownie bombardowały koncentracje wojsk i zmechanizowane oddziały nieprzyjacielskie. Ponadto przez całą noc, pomimo niekorzystnych warunków atmosferycznych dokonywały one nieustannych ataków na bulwary i inne objekty pewnej, wysuniętej naprzód bazy nieprzyjacielskiej, powodując przytem pożary.

Nieprzyjaciel bombardował jedną z włoskich baz powietrznych w Trypolitanji.

Na froncie greckim artylerja włoska zatrzymała atak nieprzyjacielski. Wojska włoskie **podjęły kontrofensywę**, zadając nieprzyjacielowi znaczne straty.

W ciągu nocy na 21 grudnia i podczas całego następnego dnia, liczne eskadry bombowców i „Picciatelli" atakowały skutecznie koncentracje wojsk, szosy, linje kolejowe, baterje i bazy, posiadające znaczenie dla operacyj, toczących się w Albanji. W szeregu walk powietrznych zestrzelono jedenaście samolotów nieprzyjacielskich typu „Gloster", które spadły płonąc. Cztery samoloty włoskie nie powróciły.

W Afryce wschodniej zwyczajna działalność artyleryjska na granicy Sudanu.

Jedna z włoskich eskadr lotniczych bombardowała wielokrotnie wojska nieprzyjacielskie w pewnej miejscowości w Dolnym Sudanie.

W nocy z 21 na 22 grudnia samoloty nieprzyjacielskie zrzuciły bomby na miasto Fiume, przytem trafiony został jeden dom prywatny, a 6 osób odniosło rany.

*

Rzym, 24 grudnia. Włoski komunikat wojenny brzmi następująco:

Główna kwatera armji włoskiej komunikuje:

W **strefie granicznej Cyrenajki** sytuacja nie uległa zmianie.

Naloty bombowe na wysunięte nieprzyjacielskie bazy, jak również na nieprzyjacielskie samochody pancerne zostały powtórnie przeprowadzone przez włoskie lotnictwo.

Jeden z samolotów torpedowych trafił angielski krążownik pomocniczy i zatopił go.

Nieprzyjaciel bombardował kilka ośrodków w Libji. Jest jeden zabity i trzech rannych.

Na **froncie greckim** nieprzyjacielskie ataki zostały odparte przez włoskie kontrataki. Włosi zadali nieprzyjacielowi znaczne straty i zdobyli broń automatyczną.

Formacje myśliwskie zestrzeliły w walce dziewięć samolotów typu Blenheim.

W **Afryce wschodniej** bombardowano angielskie samochody i stanowiska w pewnej miejscowości w górnym Sudanie.

Podczas jednego z nieprzyjacielskich ataków na teren Włoch w nocy z 21 na 22 grudnia pewna ilość bomb została zrzucona na lagunę w Wenecji, które jednak nie wyrządziły strat ani w materjale, ani w ludziach.

Policja pomocnicza Petain'a rozwiązana.

Vichy, 23 grudnia. Zaprzysiężona przez marszałka Petain'a policja pomocnicza t. zw. „Grouppes de Protection" została rozwiązana przez ministra spraw wewnętrznych Pyeroutona. Organizacja ta liczyła dotychczas 1.200 ludzi, a miało być wzmocniona do liczby 30.000.

Na odwrocie koperty

Myślałem dzisiaj długo o naszej przyjaźni, Edmundzie! Trwa ona już tak długo, przeżywaliśmy tak wiele, a nic nie potrafiło jej zachwiać. I naprzykład teraz: dążymy do jednego — jesteśmy właściwie najzaciętszymi rywalami w naszem dążeniu do osiągnięcia celu, a jednak nie czujemy do siebie zawiści. A przecież tylko jeden z nas otrzyma tę wakującą posadę w klinice prof. Jergiełły. Szanse mamy jednakowe: studja, tyle samo lat praktyki, te same aspiracje i marzenia. A przecież tylko jeden... Ciekawe, jak to się ułoży... Przyznam się, że wolałbym, aby ciebie to wyróżnienie spotkało. Życzę ci tego z całego serca. Nie mogę sobie wyobrazić, że mogłoby mnie się poszczęścić, że patrzałbym na twoje rozgoryczenie i zawód... Tak, toby było dla mnie wprost bolesne!...

— Ach, Ryszardzie, żebyś wiedział, jak ja marzę o tem stanowisku! Być pomocnikiem sławnego Jergiełły! Naprawdę, że nie cofnąłbym się przed niczem, żeby tylko ten wymarzony cel osiągnąć! Wszystko jedno, jaką drogą dojść do tego!

— Nie wiesz chyba co mówisz, Edziu! Dla mnie to też jest wszystkiem, ale trzymam się zasady, że do pięknego celu doprowadza tylko szlachetne drogi!

— Ach! Ty niepoprawny idealisto! Głowę daję, że w głębi duszy przyznajesz mi rację: jeżeli czegoś tak bardzo się pragnie, to nie przebiera się w środkach! Ach, pracować z Jergiełłą! Być świadkiem jego genialnych operacyj! Specjalizować się pod jego kontrolą! Nie! Nie wyobrażam sobie większego szczęścia! I te dochody! Tyle pieniędzy! Możnaby żyć naprawdę w zbytku... Kupiłbym sobie zaraz willę za miastem, no i naturalnie nową limuzynę. Chewrolettę, wiesz? Bo na ten stary klekot patrzeć już wprost nie mogę!!

— No! Nie irytuj się tak na tę poczciwą maszynkę. — Ryszard z uśmiechem powiódł wzrokiem po jasnem wnętrzu ciasnego „Fiacika" — gotowa jeszcze zrobić nam psikusa! I wogóle dodaj gazu, bo szmat drogi przed nami, a śliczna gospodyni dzisiejszego wieczorku nie lubi długo czekać na zaproszonych! I stań, proszę, na sekundę przed kioskiem, zabrakło mi papierosów!

Ryszard wysiadł. Przyjaciel jego przypatrywał się przez szybkę samochodu przechodzącym ludziom.

Wyobrażał już sobie jak spaceruje w przepysznem futrze, z nabitym banknotami portfelem... Bary, dancingi, przyjęcia... Ach! Co mogą dać pieniądze! On musi zdobyć posadę u Jergiełły! Życie zaraz zupełnie inaczej się ułoży...

Cóż to? Ryszard wraca prowadząc troskliwie pod ramię nieznaną, szczupłą kobietę, idącą chwiejnie.

— Edmundzie! Bądź łaskaw nawrócić. Odwieziemy tę panią do domu. Zrobiło jej się słabo na ulicy...

— Ależ Ryszardzie! Nie zdążymy na raut! Przecież jest tyle innych ludzi: oni to samo mogliby zrobić. Dlaczego właśnie my? Pomyśl, ile nadadmy drogi! Tracimy przez to napewno dobre pół godziny!

— Trudno Edziu, przecież nie można inaczej! Trzeba ratować bliźniego! Zaopiekuj się nią przez chwilkę! Postaram się zdobyć gdzieś szklankę wody!

Edmund został sam ze swem niezadowoleniem i obcą kobietą. Z kolan jej zsunęła się torebka i z wnętrza jej wypadła na podłogę samochodu wąska, biała koperta. Edek podjął ją z ciekawością. Na odwrocie koperty mignęło mu znajome nazwisko, nazwysko, które znaczyło dlań wiele. Przeczytał: „nadawca: Ewa Jargiełło, Kraków...".

Myśl jak błyskawica: „To jest żona sławnego profesora!" rozjaśniła mu umysł.

Ewa Jargiełło zasłabła na ulicy! I on ją ratuje! Cudowna sposobność poznania krakowskiej sławy — przedstawienia się profesorowi osobiście! Cóż znaczą martwe świadectwa, podania, oferty wobec osobistego widzenia się!! Profesor zechce się wywdzięczyć... jemu, który udzielił pomocy jego żonie!!

Jemu? A czy to on ją ratował?.. Przecież to Ryszard.. on ją zobaczył pierwszy, on powziął zamiar odwiedzenia jej... zaraz tu wróci i ubiegnie Edmunda w ich współzawodnictwie! Naturalnie jemu przypadnie w udziale zaszczyt rozmowy z Jergiełłą... A on? Edmund był przecież niechętny projektowi przyjaciela... oponował raczej...

Edmund zaklął i zmiął w ręku kopertę. Ewa Jergiełło... mówiono o niej, że młoda i piękna, a nieznajoma wyglądała już na starszą kobietę...

Co za cudowna sposobność! Czarodziejski przypadek sam poprostu wtyka mu w dłoń sławę, szczęście, fortunę! I on musi ustąpić Ryszardowi!!

A co to sam powiedział przed chwilą?.. „...nie cofnąłbym się przed niczem..." Ryszard nie weźmie mu tego za złe!... Sam przecież mówił.. A każda chwila jest droga! Każda chwila decyduje o przyszłości!!

Dźwiczki samochodu zatrzaśnięte. Prędko, prędko! Niczem przyjaźń, niczem jakieś etyczne przesądy!... Cudownie szeleszczące zwitki banknotów... tysiące... tysiące. ...Nowa willa za miastem w powodzi egzotycznych kwiatów!...

Prędko, prędko! ...Sześcioosobowy Chevrolet, ślizgający się bezgłośnie po asfaltach... Futro podbijane kangurami...

Szybciej, szybciej! ...Wielkie nagłówki w dziennikach: „Sławny profesor Jergiełło i jego asystent...", „Naczelni doktorzy krakowskiej kliniki...".

Prędko!

Willa profesora. Gorączkowy dzwonek.

— Pana doktora nie ma w domu? W klinice? Trzeba tam momentalnie dać znać! Pani zasłabła na ulicy i uratowałem ją... Jest w samochodzie! Proszę, proszę ostrożnie! Tak, na ulicy Gdzie telefon? Sam, osobiście zadzwonię na klinikę! Pan doktór musi natychmiast przybyć!...

Chudy kamerdyner wysoko podnosi brwi.

— Do profesora?! To chyba zbyteczne! Gniewa się, gdy go się niepokoi drobiazgami. Naszej Maryśce często się to zdarza. Zwłaszcza, gdy ruch na ulicy. Samaby przyszła do siebie — niepotrzebnie się pan trudził. Pani doktorowa wysłała ją właśnie, by wrzuciła jej jakiś list do skrzynki...

M. Dalborówna.

Początki niemiecko-angielskiej konkurencji.

Rok 1897 punktem wyjścia nieporozumień.

Kraków, 23 grudnia. Znany niemiecki autor Hans Grimm ogłasza w czasopiśmie „Das Innere Reich“ ciekawy artykuł, w którym przypomina początki niemiecko-angielskiego współzawodnictwa, sięgające końca XIX-go wieku.

Jak zobaczymy, początkiem tego współzawodnictwa były poszczególne artykuły prasowe, które coraz bardziej zaostrzały wzajemny stosunek, tworząc w ten sposób powoli przekonanie w Anglikach, że muszą zwalczać Niemcy i że na świecie niema miejsca dla obu narodów naraz. Punktem wyjścia tej kampanji, która coraz bardziej nabierała na nasileniu, przechodząc wkońcu w rodzaju przesądu narodowego był artykuł, który ukazał się **w dniu 1 lutego 1896, w piśmie „Saturday Review“, redagowany przez Franka Harrisa, znanego biografa Oskra Wildea.** Ciekawy ten artykuł zatytułowany był **„Rozważania biologa nad polityką zagraniczną“.** Autor tego artykułu pozostał chwilowo anonimowy, lecz pismo, w którem się ukazał, było wtedy niezwykle cenione nietylko przez sfery angielskiego społeczeństwa, ale nawet przez rząd angielski. Hans Grimm oświetla sytuację polityczną owych czasów i przypomina, że w tej właśnie chwili życzenia złożone przez cesarza Wilhelma na ręce prezydenta Krugera, pozostającego wobec Anglii w wyraźnej opozycji, a wkońcu prowadzącego z Anglją wojnę, wywołało pewne napięcie stosunków, które zwłaszcza przez prasę ówczesną tylko jeszcze zostało pogłębione.

Mimo to jednak nie istniało wówczas między obama narodami uczucie nieprzyjaźni.

Dopiero od ukazania się tego nieszczęsnego artykułu „biologicznego“ rozpoczęła się serja wzajemnych dokuczań, które coraz bardziej nabierając na sile, psuły wzajempoczątkach tej nienawiści i dopiero w kwiene stosunki. Oczywiście, że zapomniano o tnu roku 1939 „odkopano“ jego genezę. W Niemczech raz po raz zwracano uwagę na ten przesąd angielski, ale nie doszło mimo to do jasnego postawienia kwestji. Dopiero na wiosnę 1939 r. podjęto w Anglji dyskusję na ten temat, to też londyński „Times“ otrzymał wtedy większą ilość listów w związku z tą sprawą, a m. in. **ukazał się list autora artykułu w roku 1896, mianowicie sir P. Chalmera Mitchela,** który pisze w swoim liście do „Times-a“ następujące słowa: „Artykuł mój nie był ani głupi, ani wieszczy. Gdy pisałem go, była polityka rządu angielskiego wyraźnie antyfrancuska i raczej proniemiecka. To, co napisałem, polegało na własnych obserwacjach, poczynionych w Niemczech, bądź też opierało się o pisma zmarłego sir Charles Dilke, który wykazywał dlaczego Francja jest naszym naturalnym sojusznikiem, Niemcy zaś naturalnym i nieuniknionym wrogiem zjednoczonego królestwa“.

Grim podaje w swoim artykule dokładne tłumaczenie owego artykułu z roku 1896, który dotychczas był znany tylko w wyjątkach i już wtedy

wywarł duży wpływ na poglądy polityków niemieckich,

a m. in. na admirała Tirpitza, powodując budowę wielkiej floty niemieckiej. **Sir P. Charles Mitchel wyraża się w tym artykule, że polityka zagraniczna narodów obliczona jest na walki o egzystencję między narodami.** Obozy zbrojne, floty i wojska są bronią zaczepną lub odporną gatunków, które doszły do siły, podobnie jak rogi u jelenia lub zęby i pazury u tygrysa. Wojna jest niemieckim wyrazem walki o byt. **Do ostatniej i decydującej wojny na śmierć i życie dochodzi wtedy, gdy dwa wzrastające w siłę narody staną sobie w drodze i gdy niema już miejsca do rozprzestrzeniania się.** Czas takiej wojny zbliża się coraz bardziej i wtedy straszne widmo wojny nie będzie mogło być usunięte przy pomocy jakiegoś orzeczenia pokojowego. **Wtedy to będą ginąć rasy słabe jedne za drugimi a pozostałe wielkie narody coraz bardziej będą się uzbrajały przeciwko sobie.** Wśród tych wielkich największą jest Anglja, to też będzie musiała rozegrać **wojnę na śmierć i życie.** Ale z kim będzie musiała walczyć najpierw a z kim następnie? Następnie zastanawia się autor nad tem, kto **jest dla Anglji współzawodnikiem i dochodzi do przekonania, że rola ta przypada Niemcom.** Tłumaczy to w ten sposób: **„Anglicy i Niemcy są wśród narodów europejskich najbardziej do siebie podobni w swoim charakterze, w zakresie wierzeń religijnych i naukowego rozwoju, w życiu uczuciowem, czyli są naszymi naturalnymi przeciwnikami.**

Gdyby jutro usunięto z Europy wszystkich Niemców, to każde przedsiębiorstwo angielskie zyskałoby na tem. To samo by się stało gdyby usunięto wszystkich Anglików, na czem by **zyskali Niemcy.** Tu więc zarysowuje się wielka walka gatunków w przyszłości: tutaj znajdują się dwa wzrastające narody, które następują sobie coraz bardziej na pięty“.

Hans Grimm wydobywający z mroków stosunkowo niedalekiej, ale zapomnianej przeszłości tę zdawałoby się ciekawostkę o dużych skutkach, kończy swój artykuł mówiąc, że **„raz powstały przesąd mający wszelkie cechy angielskie został następnie coraz bardziej wykorzystywany nawet przez ludzi bardzo nieangielskich i dla celów również nieangielskich“.**

Pierwsze kroki na drodze zjednoczenia Chin.

Nankin, 23 grudnia. Według informacyj, udzielonych w Nankinie, celem ujednolicenia systemu politycznego, rozwiązano partję republikańską, a jej członkowie przeszli gremjalnie do Kuomintangu.

Równocześnie rozwiązano również azjatycką partję odrodzenia, a jej przywódcy weszli w skład centralnego komitetu wykonawczego Kuomintangu.

Instytucje społeczne rozwiązanych grup zostaną przejęte przez ligę wschodnio-azjatycką, która w przeciwieństwie do Kuomintangu pragnie stanowić instytucję nie polityczną, lecz narodową. W miarodajnych kołach Nankingu uważa się powyższe zarządzenia jako pierwsze kroki na drodze do stworzenia jednolitych Chin, skupiających w jednem państwie i pod kierownictwem jednej osobistości jednolitą organizację państwową.

Zmiany na stanowiskach ministrów w Japonji.

(=) **Tokio,** 23 grudnia. **Szef biura informacyjnego Ito podał do wiadomości fakt ustąpienia ministra spraw wewnętrznych Yasui i ministra sprawiedliwości Kazami.**

Nowym ministrem spraw wewnętrznych został mianowany **baron Hiranuma,** zaś ministrem sprawiedliwości **generał porucznik Yanagawa,** szef urzędu chińskiego. Wprowadzenie w urząd nowych ministrów nastąpiło już w niedzielę w południe w pałacu cesarskim. Zmiany na obu stanowiskach ministerjalnych mają przynieść wzmocnienie gabinetu.

Nowomianowany minister spraw wewnętrznych baron Hiranuma, liczący 75 lat, był dawniej ministrem sprawiedliwości, a od stycznia 1939 r. do sierpnia tego roku premjerem. Od początku tego miesiąca piastował on w gabinecie stanowisko ministra bez teki. Minister sprawiedliwości generał porucznik Yanagawa, liczący 61 lat, odznaczył się jako dowódca japońskiego korpusu ekspedycyjnego w zatoce Hang[illegible].

ZYGZAKI.

Słowa i słówka.

Kraków, 23 grudnia.

Jak wielu metamorfozom może podlegać jedno słowo. Naprzykład — zamek. Wyobraźnia odrazu nasuwa nam przed oczy coś potężnego, gigantycznego, coś — co pamięta dawne, najdawniejsze dzieje, [illegible] je, kiedy to na dziedzińcach wśród arkad rozbrzmiewały fanfary podczas królewskich uroczystości, kiedy złotowłosi paziowie kroczyli z dumnie podniesionemi główkami, niosąc złoto-srebrzyste treny, kiedy przed wyruszeniem w bój sale rozbrzmiewały chrzęstem rycerskiej zbroi...

Ale są i inne zamki, naprzykład... na lodzie. Obecnie w dziedzinie architektury styl bardzo popularny i — jak to bywa zawsze, jeżeli coś jest modne — ogólnie namiętnie stosowany... Są i zamki błyskawiczne, które niejednokrotnie zamiast ułatwiać — utrudniają życie, bo — znana złośliwość martwych przedmiotów — zacinają się zawsze w najmniej właściwym i pożądanym momencie.

Ale są i zamki od safesów, kryjących w sobie drogocenne biżuterje, czy akta państwowe, albo od maleńkich kasetek, które osłaniają w swojem wnętrzu tajemnice dziewczęcych serc i ukrytych marzeń...

A jakże często w życiu ma zastosowanie słowo most w przeróżnych odmianach i żadnemu z ludzi nie jest ono obce. Znają je biedacy, dla których jest on niejednokrotnie mieszkaniem, jedynem schronieniem, gdzie mogą po całodziennej tułaczce odpocząć i znają je bogacze, których łączą one z odległym światem. Są to wielkie mosty wielkich miast.

Także w motywach ludowych powtarza się często „mosteczek“. Ale wtedy jest on koniecznie nad wąską strugą rzeczki, w cienistym gaiku, gdzie w niedzielne popołudnia i wieczory spotyka się wolna od całotygodniowej pracy młodzież wiejska. Wtedy jest to „most westchnień“, gdyż niejedno serduszko bije przyspieszonem tętnem myśląc o nim, a niejedna Kasia czy Marysia tęskni i wzdycha do tych chwil spędzonych na nim, a Jaś i Pietrek przechodzą męki i katusze tygodniowej rozłąki z ukochaną. Są to małe mostki — małych wsi.

A jakże często dzisiaj słyszy się w życiu codziennem słowo mostek. Naprzykład jadąc w tramwaju, czy siedząc w kawiarni mimowoli jest się świadkiem rozmówek prowadzonych między przyjaciółkami, które chcą olśnić swoich ukochanych śnieżną bielą równiutkich rzędów ząbków-perełek i udają się do dentysty właśnie po... mostek. Ale jest to chwalebny zwyczaj, który stanowczo należy pochwalać, gdyż lepsze zęby sztuczne na solidnym mostku, niż... żadne.

Jest jeszcze jeden mostek, o którym myśląc, słyszę własne przyspieszone tętno, mostek — który obecnie, niestety — musi pozostać w sferze marzeń!

Jest to wspaniały, przyrządzony a la Madeira, nadziewany farszem (nie należy mylić z fałszem, gdyż tylko ludzie bywają nim nadziewani)... mostek cielęcy!

Ale wróćmy z obłoków na ziemię i odłóżmy podobne przeżycia rozkoszy podniebienia, jak i wiele innych życiowej wagi spraw — ad acta!...

Jer.

Zwycięstwo Tonny

Łodzie stały na starcie. Ich rasowe kadłuby odcinały się ostremi linjami od blado-szafirowej wody, która w cieniu orzechowych burt przybierała barwę granatowej czerni. Spalone ramiona wioślarzy prężyły się muskularnie na wiosłach, potężne mięśnie wyćwiczonych ud i łydek drgały ostatniem, nerwowem napięciem oczekiwania. Białe koszulki trwały nieruchomo. Zawodnicy gotowi byli do startu. Widownia falowała niecierpliwością. Za chwilę rozpocząć się miał bieg dwóch zwycięskich czwórek. Bieg, który miał zdecydować o palmie pierwszeństwa dwóch osad, reprezentujących dwa najstarsze i rywalizujące od lat kluby.

Na trybunach stawiano na osadę „Mary“, łódź klubu „Trampów Wodnych“, której szlakowy, wielki Micky, zwany tak popularnie od imienia wielbłąda w miejscowym zoologu — uśmiechał się rozbrajającym wyrazem ust, kierując od czasu do czasu twarz w stronę, gdzie mało co ponad barjerę nad rzeką, sterczała płowa czupryna. Tam, wpatrzony w „Mary“ tkwił Tonny, jego dwunastoletni brat, któremu Micky był oddawna już ojcem i matką, nianią i zarazem ideałem i wzorem wszystkich braci. Tonny, mało powiedzieć, kochał swego „Drągala“. Uwielbiał go! To przecież Micky zastępował mu od lat najmłodszych matkę, zmarłą przedwcześnie, która nie mogła przeżyć nagłego zniknięcia ojca. To Micky piastował go, śpiewał basowym, fałszywym głosem piosenki do snu, uczył go zapinać guziki i posługiwać się przy jedzeniu miast palcami — widelcem. Micky zaprowadził Tonny'ego do szkoły i póty prał jego kolegów, dokuczających mu jego delikatnym wyglądem — aż nabrali szacunku dla jego małych piąstek i dziewczęco ładnej buzi. Ho, ho! Nie każdego stać na takiego obrońcę, jakim był wielki Micky, który zawsze niespodzianie wyrastał, jak z pod ziemi, akurat w chwili, gdy małemu groziła jakaś awantura. Micky brał zaczepników za spodnie, podnosił w górę i wybijał im z głowy (jeżeli i tę część ciała można tak nazwać) chęć do bójki z jego bratem. Micky zaczął dbać o to, by w drobnem ciałku braciszka zaszczepić trochę siły, nauczył go pływać, wrzuciwszy go kiedyś, napozór bezlitośnie, a przecież z wyraźnym lękiem i bólem w oczach, na środek basenu. Tonny pluł, kaszlał, chował się pod wodę i wypływał, aż opanowawszy chęć płaczu, dotarł do brzegu. Choć wyczerpany rzucił się jednak z pięściami na starszego brata, tłukł go bezsilnie pięściami po piersiach, brzuchu, głowie, gdzie padło. Micky, siedząc na stopniach basenu, przyjmował razy, zakrywszy twarz tylko. Czekał, aż Tonny się zmęczy. Potem usłyszał wyrzut:

— Ty, podły! Myślisz, żeś taki wielki, to ci wolno mnie topić!

Skulony, wsparty łokciami na kolanach, odpowiedział ze smutkiem:

— Chciałem, byś przestał nareszcie bać się wody. Musisz ją polubić, Tonny, musisz być silny i zdrowy. Chcę, żebyś wszędzie był ze mną.

I Tonny polubił wodę. Nauczył się pływać jak szczupak, poznał wszelkie możliwe style, które sobie naturalnie upraszczał po chłopięcemu, nurkował, ginąc w wodzie jak kamień i wypryskiwał z wody jak piskorz. Micky zapoznał go z arkanami sztuki wioślarskiej i Tonny wkrótce opanował wiosła i ster. Woda stawała mu się posłuszną, przyjazną.

Włóczyli się obaj w rasowych jedynkach po wszystkich zakamarkach rzeki, lądowali na łachach i wyspach, zarośniętych wikliną. Dnie całe spędzali na wodzie, jak dzikie ptaki. Spalili się na węgiel — duży Micky o dziecinnym wyrazie twarzy i mały Tonny, rozśmieszający komicznym marsem udanej powagi. Tworzyli wspaniałą parę, która zwracała uwagę wszystkich. — Tonny cieszył się tem. W swej wyobraźni utwierdzony był w przekonaniu, że popularność swą zawdzięcza tylko bratu, znanemu szlakowemu osady „Mary“. Jemu to przecież klub „Trampów Wodnych“ od lat zawdzięczał laury w dorocznych regatach. To Micky — wiedział Tonny — nadaje tempo. Micky ciągnie za sobą resztę wioślarzy. Na jego znak — pióra wioseł tną w wodę, a siodełka suwają się w tę stronę i z powrotem. Na jego pochylenie — gną się plecy „dwójki“, „trójki“ i „czwórki“. Micky prowadzi! Micky wyprzedza przeciwnika, Micky bije go.

Tonny wpatruje się w uśmiechniętą twarz Micka, który na dany znak — zanurzy za chwilę wiosło. Tonny ściska pięści. Widzi już zdaleka skupienie na twarzy Micka, wpatrzonego w postać sternika „Mary“. Tonny śle bratu najlepsze myśli i powtarza uporczywie: „Musisz wygrać! — Musisz“. Tonny wie że od tego zwycięstwa zależy wiele: honor Micka, jako najlepszego wioślarza klubu „Trampów Wodnych“, od tego zależy sława klubu, a także wysoka nagroda pieniężna przeznaczona dla szlakowego zwycięskiej „czwórki“ przez miejscowego fabrykanta porcelany. Z tą nagrodą wiąże się duża nadzieja Tonny'ego na posiadanie przyobiecanego przez Micka zegarka, pierwszego zegarka w życiu. Ze zwycięstwem tem wiąże się jeszcze coś, o czem nie może myśleć bez ściśnięcia serca, co mu stale grozi niebezpieczeństwem największej straty, jakaby go mogła dotknąć, straty miłości Micka. Łaskawość ciemnowłosej Joan, która w sercu wielkiego Micka znalazła sobie kącik, rozrastający się z dnia na dzień. Tonny wie, że przyjdzie dzień, kiedy ich dwoje nie pomieści się tam i że tym, który będzie musiał zrezygnować, będzie nikt inny — tylko on.

Niema dziś Joan na trybunach. Zdaleka tylko przemknęło coś, jak złudzenie, jej sylwetki, zdaleka, na jachcie syna fabrykanta porcelany, rywala Micka do ręki Joan. Niema jej tu, choć Micky tak bardzo pragnie zawsze jej obecności, że Tonny aż twarz kurczy z żalu. Niema, choć spojrzeniem pięknych, połyskliwych oczu mogłaby natchnąć Micka wolą zwycięstwa. Tonny wie, że w sercu Micka, które winno teraz pracować równo, rytmicznie, spokojnie, utkwiła, jak kolec, myśl o Joan, która nie przyszła.

Joan nie lubi wody. Joan lubi salony, kino, teatr i tańce. Joan woli patrzeć zdaleka na wodę, z pokładu jachtu motorowego lub ze statku, gdzie czas jej umilają umizgi, muzyka i dobry bufet. Joan dobrze wygląda, gdy strojna jest w długie powłóczyste suknie, głęboko wycięte na plecach. Sylwetka jej — w skromnym stroju, w spodniach treningowych, straciłaby wiele. Joan wie o tem i dlatego widać ją stale na tle wytwornych fraków i smokingów, w nowoczesnej fryzurze i pomysłowej oprawie kosztownej biżuterji i drogich futer.

Tonny niecierpi Joan, nie mówiąc o tem bratu, który rozumie tę bezsłowną rywalizację i bolcje nad nią, a zaradzić temu nie umie. Tonny cierpi w skrytości, płacze wieczorami, kiedy nie słyszy, jak dawniej, obok siebie, głośnego oddechu i wpija palce w poduszkę, gdy Mick wraca późno, przynosząc ze sobą słodkawy zapach wody lawendowej. Teraz jednak, choć mu tak bardzo ciężko na sercu, pragnie ze wszystkich sił, by Joan ukazała się na trybunach i dodała sił szlakowemu „Mary“. Micky bowiem musi zwyciężyć! Musi!

Przy stoliku sędziowskim przerwano już dyskusję. Starter dał znak. Gong uderzył. Tonny wyskoczył w tej chwili za barjerę, wparł się szeroko rozstawionemi nożętami w żwir i rozpalonym wzrokiem chwytał moment, w którym drgnęły sylwetki zawodników i łodzie wyprysnęły z miejsca. O kilka uderzeń od mety „Mary“ wysunęła się o ćwierć długości przed swego rywala „Delfina“. Zrazu potem łodzie szły równo. Pióra cięły ostro wodę, kadłuby śligały się gładko. Tonny drżał z emocji, tłukł się pięściami po bokach, śmiał się głośno i krzyczał piskliwie, gdy łódź Micka jęła powoli, ale systematycznie, centymetr za centymetrem, zostawiać za sobą współzawodnika, gdy na trybunach krzyczano rytmicznie, dopingująco: „Ma—ry!“, „Ma—ry!“. Byli tacy, co krzyczeli „Mic—ky!“, „Mic—ky“.

Tonny nie mógł wytrzymać w miejscu. Cofnięty przez porządkowych za barjerę, przeskoczył przez nią i puścił się wzdłuż brzegu, krzycząc cienkim głosem: „Micky!“, „Mic—ky!“. A Micky zwiększał tempo. Słychać było tylko mocny odrzut wo-

Belgijski chemik wynalazł nowy środek napędny.

Bruksela, 23 grudnia. Belgijski chemik Dacier wynalazł nowy sposób produkowania syntetycznego środka napędnego. Środek ten, nazwany przez wynalazcę **Carbolem**, uzyskuje się z resztek węgla, w który Belgja obfituje.

Carbol, o którym jego wynalazca twierdzi, że po trzech latach prób można już przejść od prób laboratoryjnych do produkcji przemysłowej, posiada 7.000 kaloryj i zamarza dopiero w temperaturze 80 stopni poniżej zera. Dotychczas w stosunkowo małym zakładzie wynalazcy produkuje się dziennie 4.000 carbolu. Dłuższe jazdy próbne przy użyciu carbolu miały przynieść dobre wyniki.

Pewną trudność napotyka się tylko w tem, że do produkowania tego środka napędnego trzeba także i alkoholu w większych ilościach.

Co dzień niesie?

Nadspodziewane wyniki niedzielnej sprzedaży.

(f) Jak już komunikowaliśmy czytelnikom na szpaltach naszego pisma, trzy niedziele poprzedzające święta Bożego Narodzenia, na mocy rozporządzenia Polizeipräsidenta miasta Sosnowitz z dnia 7 grudnia 1940 r. zostały zwolnione z zakazu sprzedaży. Tak więc w dniach 8, 15 i 22 grudnia br. w godzinach od 13-tej do 17-tej, wszystkie przedsiębiorstwa były otwarte.

Uwagę zwracał wybitnie wzmożony ruch przedświąteczny, który w poprzednich latach rzadko kiedy dochodził do takich rozmiarów, a swój punkt kulminacyjny osiągnął właśnie w dwie ostatnie niedziele. O nasileniu tego ruchu najlepiej świadczą informacje, udzielone nam przez samych kupców, którzy zupełnie szczerze przyznają, że w wolne od zakazu sprzedaży niedziele **zarobili więcej, niż w dni powszednie.**

Biorąc pod uwagę, że sprzedaż niedzielna dozwolona była jedynie na cztery godziny, a w dzień powszedni sklepy otwarte są osiem godzin, jaskrawo uderza fakt niespodziewanych wyników.

Nowe udogodnienia dla pracowników Huty Bankowej w Dombrowie.

(al) Mamy do zanotowania nowy fakt, doskonale ilustrujący zrozumienie władz dla potrzeb robotnika. Po zaopatrzeniu wszystkich pracowników Huty Bankowej w ziemniaki, obuwie i częściowo ciepłą odzież, rozpoczęto przed paroma dniami wydawanie wszystkim tym pracownikom, których praca wymaga zabrudzenia, wzgl. zakurzenia się, trzech kawałków mydła i jednej paczki proszku do prania.

Warto nadmienić, że już od dość dawnego czasu każdy robotnik korzysta codziennie z wydawanej porcji gorącej, smacznej zupy, której cena wynosi tylko 20 Rpf. Należy się również spodziewać, że w niedalekiej już przyszłości pracownicy fizyczni tegoż towarzystwa będą korzystali jeszcze z wielu innych udogodnień i powoli będą dopełniali nieraz bardzo dotkliwe nawet braki.

Choinka dla wszystkich.

(f) Symbolem świąt Bożego Narodzenia jest choinka. Z choinką związanych jest wiele zwyczajów świątecznych, choinka stała się tradycją, bez której trudnoby sobie wyobrazić świąteczny nastrój.

W zrozumieniu prastarej tradycji i w trosce o jej zachowanie, władze miejskie miasta Sosnowitz ustawiły w różnych punktach miasta wspaniałe okazy drzewek, które z chwilą nadejścia zmroku jarzą się tysiącami świateł kolorowych lampek elektrycznych. Drzewka te, wysokością swoją przekraczają 10 m. Pięknie wygląda zdaleka taka piramida świetlna, mieniąca się wszystkiemi kolorami. Na szczególną uwagę zasługuje przedewszystkiem wspaniały okaz, wkopany przy Rathausstrasse, który można podziwiać codziennie w doskonałej perspektywie od strony Hauptstrasse.

Nie można nie wspomnieć również o choince przy Polizeipräsidium na zbiegu ulicy Breslauerstrasse i Theaterstrasse, która również gromadzi wielu ciekawych, a w szczególności dzieci.

Nadmienić należy, że wyżej wspomniane choinki zostały specjalnie na ten cel sprowadzone przez władze miejskie, gdyż okoliczne lasy nie mogą się poszczycić tak wspaniałemi egzemplarzami.

Tradycyjna szopka.

(f) Trudno sobie doprawdy wyobrazić Boże Naodzenie bez tradycyjnej szopki. Prastary ten zwyczaj zachował się do dziś dnia wśród naszego społeczeństwa i jest w dalszym ciągu pielęgnowany z całym pietyzmem. Ileż to razy podczas samych świąt, czy wogóle w okresie świątecznym a więc od Bożego Narodzenia do Nowego Roku zapuka do drzwi naszego mieszkania „szopka“ i rozlegnie się nuta tak dobrze nam znanej kolędy. Rzadko doprawdy znajdzie się ktoś, kto nie wpuści kolędników do domu, nie wysłucha znanej pieśni i nie uraczy zamarzniętych poczęstunkiem, rzucając także kilka fenigów do czapek.

Bo trzeba wiedzieć, że ci kolędnicy, choć przeważnie z biednych rodzin pochodzący, gdzie może święta nie zawsze są takie, jakie być powinny, są jakgdyby łącznikami między dawnemi zwyczajami a dzisiejszym światem. Jeśli bowiem ten piękny zwyczaj obchodzenia z szopką mieszkań zachował się do dnia dzisiejszego, im to w pierwszym rzędzie mamy do zawdzięczenia. Wiele tradycyj poszło w zapomnienie, gdyż zajęci teraźniejszością nie mieli czasu, ani ochoty, wsłuchiwać się w echa minionych wieków. Ale to co zostało jeszcze, niechże będzie pielęgnowane dalej.

Dlatego też niech nikt nie zamyka drzwi kolędnikom, a wprost przeciwnie, wysłuchajmy ich w skupieniu, pokrzepmy w miarę możności i rzućmy dobre słowo na pożegnanie. Niech idą dalej z dobrą wiarą spełniać swe posłannictwo dawnej tradycji.

Ostrzeżenie dla restauratorów.

(h) Polizeipräsident donosi:

Istnieje jeszcze obecnie wielu właścicieli zakładów gastronomicznych, którzy pomimo zakazu, wydają osobom nietrzeźwym alkohol, lub napoje alkoholowe. Postępowanie takie powinno być tym razem bardziej potępione, ponieważ chodzi tutaj przeważnie o zawodowych pijaków, których w wielu wypadkach właściciele restauracyj znają lub już znać powinni. Ci zawodowi pijący przepijają przeważnie cały swój zarobek, aby zaspokoić swoją żądzę. W następstwie tego rodzina takiego osobnika, nie mając środków do życia, zdana jest na opiekę społeczną, nie biorąc już pod uwagę oczywistych szkód dla zdrowia samego pijaka.

W przyszłości wystąpi się jak najostrzej przeciwko wszystkim tym właścicielom zakładów gastronomicznych, którzy nadużywają pokładanego w nich zaufania i wydają, mimo zakazu, osobom pijanym alkohol lub napoje alkoholowe.

Nowoczesne zabawki.

(f) Sklepy z zabawkami dla dzieci zostały w tym roku szczególnie w okresie przedświątecznym zarzucone całą masą pomysłowych zabawek, które ze względu na technikę wykonania zasługują na szczególną uwagę. Zabawki te są bardzo misterne i precyzyjnie wykonane, a co najważniejsze znajdują się wśród nich rzeczy zupełnie nowe, które u nas pojawiły się dopiero stosunkowo niedawno.

Obok lalek, całych kolekcyj zwierząt, wózeczków i tym podobnych „cudów“ należy przedewszystkiem wymienić tu zabawki mechaniczne, które zdumiewają pomysłowością i walorami zewnętrznemi. Samochody najrozmaitszych typów i wielkości, biegnące po podłodze, motocykle, rowery poruszane mechanizmem, pociągi, z których lokomotyw sypią się iskry, a mknące po lśniących szynach, tanki i tankietki, okręty i łodzie motorowe, które z całą swobodą poruszają się po wodzie a wreszcie wszystkie możliwe typy samolotów, wyczyniających różne karkołomne sztuczki, gromadzą tłumy ciekawych nietylko zresztą dzieci i młodzieży, ale i ludzi dorosłych, którzy z całem uznaniem a równocześnie niekłamanym zachwytem podziwiają technikę tych nowoczesnych zautomatyzowanych zabawek.

Jeżeli chodzi o ceny, to są one tak przystępne, jak nie spotkaliśmy nigdy dotychczas. Nic więc dziwnego, że w sklepach z zabawkami stoją formalne „ogonki“ klientów, którzy korzystając z niebywałej okazji pragną spełnić marzenia swych dzieci.

Rzucanie kamieniami do lamp i izolatorów.

(f) Niejednokrotnie na ulicach miast spostrzec można małych chłopców, którzy w bezczelny sposób rzucają kamieniami do lamp i izolatorów elektrycznych, powodując swem karygodnem postępowaniem wiele szkód przez potłuczenie kloszy i żarówek, lub uszkodzenie całej okolicznej instalacji świetlnej. **Zwraca się uwagę tak samych sprawców, jak i ich opiekunów na przykre następstwa takich niewłaściwych wybryków.**

Z chwilą skonstatowania uszkodzenia lamp, izolatorów, czy przewodów elektrycznych, sprawca, obok obowiązku pokrycia całkowitych kosztów naprawy, **zostanie pociągnięty do odpowiedzialności karnej.** O ile szkodnikiem okaże się małoletni, odpowiedzialność w tych wypadkach **spada na rodziców, względnie opiekę domową.** W żadnym jednak razie podobne ekscesy tolerowane nie będą.

Plaga żebractwa.

(al) Pomimo tego, że w prasie i specjalnie temu poświęconych ogłoszeniach już niejednokrotnie nadmieniano o **zarządzeniu władz zakazującem uprawianie żebractwa,** jesteśmy często zaczepiani na ulicach, czy nawet nachodzeni w mieszkaniach przez różnego rodzaju osobników, domagających się datków lub pożywienia.

Tego rodzaju sposób zaarobkownia i utrzymywania się jest karygodny, albowiem władze oddawna już tę sprawę uregulowały, dając możność wszystkim dotychczas trudniącym się z tych czy innych powodów żebraniną, możność zarobku przez ofiarowanie pracy młodym, zdrowym ludziom, którzy zostali zatrudnieni bądź na miejscu, bądź też na terenie Rzeszy.

Oprócz tego regularnie wydawano wsparcie biednym i niemogącym zarobkować na własne utrzymanie. Bezdomnych starych i chorych umieszczono w specjalnych przytułkach. Jeśli jeszcze obecnie spotykamy się z żebractwem, to musimy się liczyć z tem, że mamy do czynienia z osobami uprawiającemi ten proceder z chorobliwej manji dziadowania, ukrywania się przed policją, z powodu popełnienia jakiegoś przestępstwa lub chęci upatrzenia sposobności dokonania ewentualnej kradzieży, czy innego występku.

Widzimy więc, ile niespodzianek może nastręczyć nam tolerowanie żebractwa i dlatego też **należy bezwzględnie tępić tę plagę, a w wypadkach podejrzanych porozumieć się z władzami.** Jeżeli wszyscy nie będziemy patrzeć przez palce na te sprawy, wówczas unikniemy wielu niepożądanych zaczepek i nahalnych narzucań się, a niejednokrotnie zaś utratę dobytku.

(f) **WYPADEK PRZY PRACY.** W dniu 19 grudnia o godz. 1 w nocy miał miejsce w hucie „Milowice“ w Sosnowitz wypadek przy pracy, któremu uległ robotnik nazwiskiem Pajda z Sosnowitz. Poszkodowany przy oczyszczaniu i regulowaniu biegu maszyny, służącej do obcinania żelaza, tak nieszczęśliwie włożył ręce, że „obcinarka“ zmiażdżyła mu palce u prawej dłoni. Czy na skutek wypadku nie ucierpi cała dłoń, na miejscu nie dało się stwierdzić. Po udzieleniu pierwszej pomocy przez ambulatorjum hutnicze, ofiarę nieszczęśliwego wypadku przy pracy odprowadzono na kurację do domu.

(h) **KRADZIEŻ NA JARMARKU.** Zuchwała kradzież miała miejsce w tych dniach na rynku w Bendzinie przy Marktstrasse. Pewna kobieta, po uskutecznieniu swoich zakupów opuściła rynek, nie zauważywszy, że podąża za nią nieznajomy. Przy okazji nieznajomy skradł kobiecie, żyjącej w skromnych warunkach torebkę z zawartością 46 RM. Niestety kobieta stwierdziła zgubę dopiero na drodze powrotnej.

Naczelny redaktor: Leopold Balscher. Redaktor odpow. Bruno Hamann. Redakcja: Kattowitz, Emmastr. 12, tel. 352-32. — Administracja: Ernst Kublow, Sosnowitz, Hauptstrasse 18, tel. 612-24. Oddziały: Bendzin, Kattowitzerstr. 16. Dombrowa, Rathausstr. 2. Zawiercie, Adolf-Hitlerstrasse 3.

dy i spokojne skandowanie sternika: „Ra-az!“, „Tempo!“. „Mary“ zdobyła trzy czwarte długości. Zbliżali się teraz do wąskiej gardzieli przesmyku, utworzonego przez sterczący tu cypel brzeżu, a wysunięty ku niemu jęzor mielizny na środku rzeki. Szerokość przesmyku można pomieścić tylko jedną łódź. „Mary“ wysunęła się naprzód już o całą długość. Osada „Delfina“ zdobywała się na ogromny wysiłek, by dorównać właśnie tu, by dorwać się do fatalnej bramy, po przejściu której wygrana była prawie pewna. Jasne jednak było, że pierwsza wejdzie „Mary“, że współzawodnik odpadnie tu o parę długości, tracąc czas na przeczekanie przejścia gardzieli przez „Mary“.

Tonny biegł równolegle do łodzi Micka. Skakał po wykrotach, przewracał się, podnosił, wołał z całej piersi „Micky! Micky!“, popychając towarzyszących mu, rozentuzjazmowanych jego zapałem, wyrostków. Micky zaś każdem uderzeniem wiosła zbliżał się do wielkiej nagrody prezydenta Stanu, do pokaźnej kwoty, przeznaczonej dla szlakowego zwycięskiej „czwórki“, do zegarka, pierwszego zegarka Tonny, o którym wiedzieli wszyscy rówieśnicy.

U końca wyspy stał zakotwiczony na półmecie jacht. Tam owinąć się miały łodzie ostrym skrętem, by kontynuować bieg z drugiej strony łachy.

Tonny wiedział, że pierwsza okrąży wyspę „Mary“. Przed oczami miał już moment wręczania nagrody: szeroki, wstydliwy uśmiech brata, a potem błyszczący zegarek na przegubiu lewej ręki. Zapiekł go tylko spodziewany uśmiech Joan, która napewno podzieli się chlubą Micka, jego zaś, małego Tonny, odsuwając w cień.

Łodzie jedna za drugą osiągały metę półbiegu. Tłum wrzawą dopingował zawodników, lśniących od potu. Na jachcie trzepotała bandera klubowa i jasna sukienka w kwiaty, którą Tonny rozpoznał zdaleka, przeczuł raczej trwożliwie. To była Joan. Tu, na jachcie syna bogatego fabrykanta porcelany, w którym Micky widział zawsze swego rywala. Tonny podniósł w przerażeniu dłonie do serca. „Co będzie — myślał wylękniony — jeśli Micky teraz zauważy stropi się, stropi się tak bardzo, jak on to potrafi i zapomni na chwilę o całym świecie, prócz Joan...“

„Mary“ prześlizgiwała się koło burt jachtu, gdy z pokładu jego zerwał się śmiech i pełne dysharmonji w opanowanem, odmierzonem tempie ruchów wioślarzy, przeciągłe, pieszczotliwe wołanie:

— Miiicky!

Micky drgnął. Tonny widział to wyraźnie. Stanął na brzegu. Micky rzucił w przelocie wzrokiem ku wołaniu i — ...zgubił tempo! Wiosło jego shaczyło się z wiosłem siedzącego za nim. „Delfin“ zdobył teraz pół długości. Nim Micky wyrównał i wrócił do dawnego rytmu, trzeba było dobrej chwili, w ciągu której tamci zrównali się burta w burtę.

Sternik „Mary“ pochylił się. Krzyczał teraz dobitnie, rozkazująco:

— Tem-po!“, „Tem-po!“ „Raz ... „Dwa i...“

W mechanizmie muskułów szlakowego „Mary“, w uderzeniu serca jego, coś się jednak popsuło. Brakło mu spokoju, opanowania. Terkotanie jachtu, posuwającego się w ślad za nimi, zagłuszało komendę, trzask wody, odrzucanej przez załogę „Delfina“, tuż obok, już prawie przed nimi, — odebrały spokój. Zerwał się w morderczem tempie, narzucił je sternikowi i całej osadzie. — To się musiało źle skończy. W pewnej chwili serce stanęło małemu Tonny w gardle: oto Micki, zanurzywszy wiosło, nie wydostał go więcej. Złamał je, czy zatopił, czy wyrwał z dulki... Widać było tylko po tamtej stronie zamieszanie, szamotanie niezgranej w ruchach osady, a tymczasem „Delfin“ oddalił się o jedną długość, dwie, trzy, o dziesięć, zostawiając „Mary“ daleko w tyle.

Tonny płakał z wściekłości. Gryzł w zębach imię oJan. To ona, przecież to Joan była winna! Tak rozpaczliwie żal mu było Micka, który siedział bez ruchu, skrywszy twarz w dłoniach. Dwaj z pozostałych wioślarzy prowadzili łódź do mety. Micky nie mógł unieść ciężaru ich spojrzenia. Zgarbił się jakoś. Skulił się jeszcze bardziej, gdy z trybun powitały ich gwizdy, szydercze śmiechy. To było ponad jego siły. U przystani wyskoczył szybko, umykając towarzyszom, od których nie chciał nawet słów współczucia, czy pocieszenia.

Odziany w płaszcz kąpielowy, usiadł ztyłu gmachu klubowego, za warsztatami gdzie zwykle widywał się po treningu z Joan. Ale dziś Joan nie przyszła. A tak trzeba było jej drogich rąk, jej drżącego głosu, któryby umiał przekonać go, że przecież to wszystko, to takie wielkie... głupstwo!

Joan nie przyszła i nie przyjdzie. Tonny wie o tem. W salonach klubu już tańczono. Joan kołysała się w ramionach prezesa klubu, potem zaś w objęciach zwycięskich zawodników „Delfina“. O Micky'm zapomniała zupełnie.

Tonny to wiedział i czuł. Czuł się samotny, jak — Micky. Jego rówieśnicy odstąpili go, zdradzili, bratając się ze zwolennikami osady „Delfina“. Tonny zwierał pięści, gdy śmiali się z „Mary“. Nie wytrzymał jednak, gdy zaczęli kpić z Micka i zegarka Tonny. Doskoczył, trzasnął jednego z nich pięścią między oczy, nie zdążywszy jednak odparować ciosu, zadanego mu równocześnie prosto w nos. Padając na ziemię, z ciemnością w oczach, jeszcze tłukł na lewo i prawo, powtarzając zaciekle, coraz ciszej, coraz słabiej: „A masz, to za Micka!“

Zbity, posiniaczony, pozbierał się i powlókł na poszukiwanie brata. Ujrzał go zgarbionego, strutego, opuszczonego przez wszystkich. Wysilił się na uśmiech, który żałośnie wypadł na podrapanej twarzy. Przełknął łzy i zdobył się na ton, który zbił Micka z tropu:

— No, stary, myślałby kto, żeś kogoś pochował przed chwilą...

Tamten podniósł oczy i rzekł cicho:

— Pochowałem, Tonny, wiesz kogo... Jedna była i...

— ...właśnie przez nią musiałeś przegrać! — wybuchnął mały.

— Cicho, nie mówi się źle o tych, co odeszli...

Zamyślił się, objął wzrokiem potarganą głowę, ślady bójki na twarzy. Rzekł smutno:

— Zostaliśmy obaj pobici — a po chwili — no i co teraz z twoim zegarkiem, Tonny?

Chłopiec wykręcił się na pięcie, przełknął wspomnienie, jak smak piołunu. Kopnął z pasją jakiś kamyk, jakby to właśnie wspomnienie odrzucał. Potem wydął, niby to pogardliwie, wargi, mówiąc lekceważąco:

— Phi, nie jeden jest zegarek na świecie...

Micky popatrzył na niego i widząc skrywaną żałość, rzekł wzruszonym głosem:

— Zdaje mi się, że jednak jeden jest tylko mój naprawdę człowiek na świecie...

Tonny zawisnął mu wzrokiem na ustach. Micky dokończył:

— Tonny, mój mały Tonny!

— O, Micky — wykrzyknął zduszonym głosem Tonny, broniąc się z wysiłkiem wzruszeniu. Zacisnął pięści, jakby tym gestem wstrzymać chciał cieknące, kropla po kropli, łzy po policzkach.

— Tonny! — zawołał zdziwiony Micky. Po chwili mały był już w jego objęciach.

— Tak się cieszę... — szeptał malec — tak dobrze, że...

— Że...

— ...że przegrałeś...

— Co? — Micky odsunął chłopca od siebie, niemile zaskoczony, z wyrzutem w zdumionych dziwnem odkryciem oczach.

— No... bo... — bronił się spiesznie Tonny — inaczejbym cię nigdy nie odzyskał. Teraz dopiero ja — zwyciężyłem. Zwyciężyłem — Joan, co mi cię zabrała.

Micky spuścił oczy. Słońce strzeliło zza horyzontu ostatniem promieniem. Drzewa zaszumiały wieczornym wiatrem. Uniosły na skrzydłach pierzastych liści wstydliwe mruczenie:

— Trzeba było aż takiej fatalnej porażki, żeby to zrozumieć...

— Co?... — zapytał troskliwie mały.

— To — odparł. Micky, kładąc rękę na piersiach brata, w miejscu, gdzie pukało prędko serce: maleńkie serce Tonny.

Janusz Koźmicki.

Wojna błyskawiczna i filologja.

Kraków, 23 grudnia.

Tak zawsze było w dziejach, że każda wojna przynosiła narodom daleko sięgające zmiany, wielokrotnie nawet przewroty we wszystkich dziedzinach życia. Dzisiaj jesteśmy świadkami tego rodzaju przewrotu i każdą fazę wojny odczuwamy dotkliwie na sobie. Nietylko chodzi o konieczność ograniczenia rozmaitych środków żywności, nietylko ludzie muszą ofiarować swoje życie, czy to na polach bitew w służbie dla Ojczyzny i ogółu, czy też w nużącej służbie na etapach, ale także i każdy z nas musi ofiarować wojnie część swej siły nerwowej, swego zdrowia.

Nawet i język nie pozostaje nietkniętym przez wojnę.

Także i w tym zakresie zachodzą przemiany, które nieraz posiadają zasadnicze znaczenie. Zasób słów wszystkich narodów, które przystąpiły do wojny, lub też jak np. Szwecja „otarły się" o wojnę, zostaje wzbogacony o nowe twory, które powstają bądź świadomie, bądź też zupełnie mimowoli.

Już sama codzienna lektura komunikatów wojennych przynosi ze sobą to, że niektóre słowa, czy zdania, **nabierają znaczenia sentencyj i każdy je sobie przyswaja.**

Te wyrażenia wojenne, jakby je można nazwać, wciskają się w codzienne życie i nadają rozmowie ludzi pewien określony wojenny styl. W kawiarniach, w restauracjach i wszędzie tam, gdzie zbierają się ludzie, **sentencje te krzyżują się ze sobą** i nieraz stają się powodem do tworzenia jeszcze innych, nowszych wyrażeń. Wiele z nich zyskuje sobie poklask ogółu i w ten sposób przedostaje się na stałe do naszego zasobu słów, z którego już nigdy nie dadzą się usunąć.

Wojna światowa na tym odcinku nie była tak owocną, jak wojna, którą obecnie przeżywamy.

Doszlibyśmy zadaleko, gdybyśmy chcieli na tem miejscu bliżej wnikać w istotę kształtowania nowych słów. Pozostawiamy to filologom, którzy po wojnie będą się spierali między sobą i będą pisali na ten temat artykuły i książki. Naszem zadaniem jest jedynie wyłowić poszczególne nowe słowa i omówić ich powstanie.

Tak więc mamy przedewszystkiem wyrażenie:

„wojna błyskawiczna",

które powstało w Niemczech, a następnie znalazło sobie drogę do języka angielskiego. Stalowy hełm, który noszą obecnie osoby cywilne w ustawicznie zagrożonym atakami Londynie, otrzymał właśnie z uwagi na to wyrażenie „wojna błyskawiczna" nazwę **„blitz bowler"** (błyskawiczny kapelusz).

Wyrażenie „wojna błyskawiczna" (Blitzkrieg) jest zupełnie nowem. Swoje powstanie zawdzięcza ono nietylko samej wojnie, ile raczej sportowi, jaki poprzedził wybuch tej wojny w prasie światowej. Gdy Niemcy po raz pierwszy użyli wyrażenia „wojna błyskawiczna", zostali w pewnej części prasy francuskiej i angielskiej wyśmiani, a nie brak było i amerykańskich krytyków, którzy żartowali sobie z mającego niebawem wybuchnąć konfliktu zbrojnego, określanego przez Niemców mianem „wojny błyskawicznej" i **mieli prawo ostrzegać przed jej niebezpieczeństwami, grożącemi ludności cywilnej.**

Pojęcie i słowo **„oś"**, oraz wytworzone przy jego pomocy polityczne pojęcie **„mocarstwa osi"**, przyjęło się na dobre w ciągu obecnej wojny. Wyrażenie to używane jest dzisiaj potocznie równie dobrze w Europie, jak i Ameryce, w Azji, jak i w Afryce, czy w Australji.

Pojęcie **„wodza" — „führera"**, które znalazło zastosowanie w Niemczech od chwili objęcia władzy przez narodowy socjalizm, zostało przyjęte przez wszystkie państwa, rządzone autorytatywnie i jest naśladowane. W Hiszpanji mówi się dzisiaj o gen. Franco, jako o **„Caudillo"**, we Włoszech Mussolini nazywany jest **„Duce"**, a ostatnio w Rumunji faszystowskich legjonistów nowy szef państwa i kierownik polityki legjonowej nazywany jest **„Conducator"**.

Pojęcie „Führera" jest wogóle niezwykle charakterystyczne dla obecnej epoki w Europie, określanej w znacznej mierze przez państwa zorjentowane w kierunku faszystowsko-narodowo-socjalistycznie. Japonja niewątpliwie dołączyłaby się pod względem tego zwyczaju do autorytatywnie rządzonych krajów Europy, gdyby nie była cesarstwem, w którem musiano się jednak liczyć, z łatwo zrozumiałych powodów, z tradycją. Mała Słowacja w każdym razie dostosowała się niemal zupełnie do zwyczajów autorytatywnie rządzonych państw, tak, że

i tam spotykamy charakterystyczne polityczne „terminy techniczne".

Posiada ona **ministerstwo propagandy**, a zasada wodzowstwa znajduje w zasadzie wszędzie w tym kraju zastosowanie.

Charakterystycznem dla tej wojny, którą obecnie przeżywamy wraz z mocarstwami osi jest dalej to, że dzisiaj bardzo rzadko mówi się o **„wojsku"**, względnie o **„naszych żołnierzach"**, gdyż raczej używa się wyrażenia **„siła zbrojna" (Wehrmacht)** i „członkowie siły zbrojnej" (Wehrmachtsangehörige). Także i słowo **„armja"**, które ogólnie było używane podczas wojny światowej, dzisiaj zostało zepchnięte na dalszy plan i bywa bardzo rzadko stosowane.

Nowem poniekąd jest pojęcie i słowo **„broń powietrzna"**. W czasie wojny światowej określenie to było nieznanem, mówiło się krótko o „lotnikach" (słowo to było już stosowane w latach 1914, 1918), którzy toczyli ze sobą walki, nie otrzymywali jeszcze zadania bombardowania nieprzyjaciela, czy nawet całych miast w nieprzyjacielskim kraju. Dzisiaj jest zupełnie inaczej.

Dzisiaj „broń powietrzna" jest właśnie tą bronią w obecnej wojnie, która decyduje o jej charakterze, jak żaden inny rodzaj broni.

Natomiast w marynarce wszystko niemal pozostało po dawnemu: toczy się dalej bitwy i potyczki morskie, ale w mniejszym niż podczas wojny światowej zakresie, wyrzuca się torpedy w kierunku okrętów wojennych i handlowych nieprzyjaciela i zakłada się miny. Przesunął się jedynie akcent, jaki kładzie się na poszczególne gatunki marynarki. Łodzie podwodne dopiero w tej wojnie wykazują, jak dalece niebezpieczne nawet dla tak potężnej floty wojennej, jaką jest flota angielska.

Zakładanie min natomiast nie przedstawia niczego specjalnego. Na tym terenie nie nastąpiły żadne ulepszenia w stosunku do wojny światowej.

Nowością jedynie w zakresie marynarki wojennej jest „łódź pościgowa" (Schnellboot)

Łodzi tego typu dotychczas nie używano w tak znacznych ilościach oraz w takiej doskonałości. Dzisiaj Niemcy, które prowadzą wojnę przeciwko tak znacznej potędze morskiej, używają łodzi pościgowych ze szczególnem upodobaniem.

Z polemiki, którą towarzyszy każdej wojnie, wyłoniły się również nowe pojęcia.

Do tego typu należy wynalazek Anglików „sproszkowanie".

Wyrażenie to zostało po raz pierwszy użyte po bombardowaniu Hamburga. Miało ono na celu możliwie najplastyczniej uzmysłowić jak dalece silnym był atak „Royal Air Force" i jak dalece wielkiemi miały być wyrządzone szkody: Wyrażenie zatem „sproszkowanie" nosi stempel **„Made in England"** a jego twórcami są autorzy angielskich komunikatów wojskowych.

A propos **„komunikatów wojskowych" (Heeresbericht).** Określenie to stało się już staromodnem. Pochodzi ono z czasów wojn yswiatowej i dzisiaj w zasadzie nie jest już używane, gdyż w międzyczasie wyłoniło się nowe pojęcie, a mianowicie **„komunikaty siły zbrojnej" (Wehrmachtsbericht).**

Powracając do „sproszkowania" i jego odpowiednika, musimy wspomnieć **o wielkich atakach niemieckiego lotnictwa na ważne angielskie miasto Coventry.** W Coventry wiele budynków i fabryk zostało doszczętnie zrujnowanych. Skłoniło to autorów niemieckich komunikatów wojskowych do tego, aby

nazwy tego miasta utworzyć czasownik.

Gdy zatem jakieś miasto angielskie zostaje zatakowane, a jego zakłady zbrojeniowe i ważne ze względów wojskowych objekty niszczone są doszczętnie, wówczas Niemcy mówią w przeciwieństwie do angielskiego „sproszkowania" o **„coventryzowaniu".**

Rolę szczególnego rodzaju odgrywają w obecnej wojnie „objekty wojskowe" i „objekty, ważne ze względów wojennych".

O nich ciągle jest mowa w komunikatach wojennych.

Nową jest organizowana ze strony władz wojskowy „osłona przeciwlotnicza" dla ludności cywilnej, jak i nowem jest wyrażenie **„schron przeciwlotniczy"**. Pewien przedsmak tego, co znaczy noc w noc przebywać w schronie przeciwlotniczym, mieli jedynie Londyńczycy podczas wojny światowej, którzy na ostrzeżenie „niemiecki Zeppelin nadlatuje" w strachu i panice uciekali do piwnic. Te jednak w niczem nie przypominały dzisiejszych schronów przeciwlotniczych.

Nową cechą charakterystyczną wojny błyskawicznej i jej nowej filologji są wyrażenia **„wysiedlenie"** i **„przesiedlenie"**. Pojęcie to powstało zaraz w pierwszych dniach wojny r. 1939 w związku z ucieczką ludności cywilnej z zagrożonego przez nieprzyjacielskie wojska kraju.

Wędrówki

Tysiące ludzi straciło przytem życie, inni zaginęli lub stracili swych bliskich, inni wreszcie nabawili się chorób, z których nigdy się już nie wyleczą. Jeśli wędrówki są symptomem wojny zaskakującej, to drugim symptomem są wysiedlenia i przesiedlenia, które obejmują dziesiątki, a nawet setki tysięcy ludzi.

W związku z powyższem do rzędu nowych pojęć należy wyrażenie **„układ w sprawie przesiedlenia"**. Pierwszy tego rodzaju układ, pomijając pakt turecko-grecki z okresu przed wybuchem wojny światowej, zawarły przed obecną wojną Niemcy z Włochami (południowy Tyrol) oraz w czasie obecnej wojny z Rosjanami (Niemcy wołyńscy, galicyjscy, bałtyccy, bessarabscy i bukowińscy). W ślad za temi układami poszły układy w sprawie **wymiany Polaków i żydów między Rosją a Generalnem Gubernatorstwem.**

Pewnem jest, że obecna wojna jest wojną totalną. Jej wpływy dują się stwierdzić na każdym odcinku życia. Jak widzimy z powyższego artykułu zasadzie tej podlega także i filologja. **Obserwator.**

CIEKAWOSTKI.

Wieczna koperta.

Patent na „wieczną" kopertę z celofanowem okienkiem adresowem, został wydany dopiero w roku 1917. Koperta ta weszła wówczas w życie, dzięki brakowi papieru, a więc celem oszczędzania go. Wewnątrz koperty znajduje się kawałek tasiemki lub nitki, wystającej na zewnątrz, której koniec bywa przytrzymywany przez znaczek. Po oderwaniu znaczka pocztowego koperta może być ponownie użyta. Miejsce, w którem przylepia się znaczek bywa zazwyczaj zaczernione, aby stemple pocztowe nie zniszczyły koperty. Po otwarciu koperty wystarczy zmienić w jej okienku skrawek papieru z adresem, przylepić nowy znaczek, a koperta może znów wędrować w świat.

* * *

W pewnem miasteczku burmistrz, chcąc zapobiec upijaniu się ludzi w niedziele, ogłosił, że wszyscy, którzy podczas niedzielnego nabożeństwa piją w szynku, nie potrzebują płacić za trunki. Rezultat był taki, że szynkarze nie chcieli narażać się na straty i stali bywalcy przestali w niedziele uczęszczać do szynku.

* * *

Po śmierci cesarza Rudolfa II sprzedawano jego zbiory sztuki i sławny obraz Corregia „Leda i łabędź" dostał się „pod młotek". W katalogu licytacji obraz ten nosił frapujący tytuł: „Kobieta, ukąszona przez złośliwą gęś".

BOLESŁAW RYBAK.

Powódź

26)

— Będzie lepiej... — powtórzył Putyra i gorzko się uśmiechnął. W ciągu tych kilku dni postarzał się i nabrał doświadczenia za dziesiątki lat. Poczuł na własnej skórze, jakie przykre niespodzianki kryje w sobie życie i teraz wszystko widział przed sobą w czarnych kolorach.

* * *

Noc minęła spokojnie. Rano ludzie zwlekli się z łóżek i powylazili nad rzekę. A woda opadała. Już widać było kawałki szosy, która wyłaniała się z pod wody. Zniszczenie było straszne i widać było, że trzeba będzie wielkiej pracy, aby szosę naprawić. Niewielu jednak nad tem myślało. Najważniejsze było, aby saperzy nareszcie przywieźli prowiant.

Koło południa przyjechały nareszcie pontony. Przywiozły chleb i mleko i wędliny. Baby zabrały się do gotowania i niebawem wszyscy najedli się za wszystkie czasy. Częstowano saperów, bratano się z nimi. Młodzi żołnierze zabierali się do flirtu z dziewczętami, przyczem największem powodzeniem cieszyła się Maryśka Chroczanka. Ale ona wypatrywała tylko Putyry. Doprowadzało ją do najwyższego stanu wściekłości to, że on nie patrzył wcale na nią, ani nie szukał jej towarzystwa.

Krótko jednak trwał odpoczynek saperów. Zaraz kaprale zaczęli ich zwoływać do roboty. Odpłynęli znowu na swoich pontonach. Teraz już woda w oczach opadała i zachodziło niebezpieczeństwo, aby pontony nie osiadły w mule. Gdy tylko przybili do przeciwnego brzegu, zaraz załadowano pontony na furgony i saperzy odjechali.

Ludzie patrzyli na te manipulacje trwożliwemi oczami. Bali się, że znowu zostaną sami. Nie jeden już oglądał się za Putyrą. Znaleźli go daleko od ludzi. Siedział na ustroniu i wpatrywał się w mętną wodę.

— I cóż teraz będzie, Putyra? Znowu nas zostawili.

— A cóżeście myśleli, że zawsze będą was niańczyć. Woda opada, to i saperzy nic nie pomogą. Do jutra szosa będzie wolna od wody, to spróbują koniami przejechać. A jak nie, to poczekamy jeszcze parę dni. Straciliśmy tyle dni, to możemy jeszczo kilka też przepróżniaczyć. Albo to wam źle?

— Źle i nie źle. Niby odpoczynek dobra rzecz, ale pewno nie będą chcieli zapłacić za te dni, co to nas woda zalewała.

— To się jeszcze zobaczy. Dużo od was zależy.

— Jak to od nas?

— No tak, jak się postawicie wszyscy razem i będziecie twardo stali razem, to może da się co wydębić od dyrekcji. Ale wy tego nie potraficie.

— Jak to nie pofratimy? Zobaczysz, jak się będziemy targować.

Putyra uśmiechnął się ironicznie. Już on dobrze wiedział, jak będą wyglądały te targi. Gdy tylko zobaczą dyrektora, zaraz jeden po drugim będzie mu padam-donóżkował i całował po rękach. I wtedy zdradzi drugiego, byleby tylko samemu przy żłobie zostać. A już o nim, o — Putyrze — żaden nie pomyśli. Wszyscy go odstąpią, jak się okaże, że jest posądzony o kradzież. To go gryzło i martwiło. Zatrapiał się coraz bardziej. Ale widząc, że ludzie nie mogą sobie dać rady sami, wstał i podszedł do liczniejszej grupy.

— No, ludzie — krzyknął — nie ma co stać tutaj i wypatrywać na wodę. Nijaki efatek tu nie przyplynie. Trzeba się samym wziąść do roboty. Jazda, oczyszczać szosę, a tłbijać. My zaczniemy z tej strony, to z tamtej strony łatwiej im pójdzie.

I znowu zawrzała praca. Wyciągnięte gdzieś z kąta walce do ugniatania ziemi, pokazały się łopaty i kilofy. Po godzinie już kawałek szosy wyglądał wcale przyzwoicie. Ziemia była wprawdzie miękka, ale na upartego wóz już mógł przejechać. Pracowano do późnej nocy. Potem ludzie, zmęczeni zjedli, co im tam baby ugotowały i poszli spać.

Putyra włóczył się po dziedzińcu i wyszukiwał sobie robotę. Tam poprawił jakąś deskę w parkanie, tu uprzątnął śmiecia. Poukładał łopaty i kilofy, rzucone przez robotników ladajako, tam wreszcie przymknął jakieś otwarte drzwi. Nie lubiał nieporządku i bałaganu. Któraś z bab zawołała go na kolację. Przełknął, co mu tam pod gębę podstawili, nie bacząc co je.

Ludzie patrzyli się na niego znowu z uszanowaniem. Baby podsuwały mu co lepsze kawałki, a dziewczęta czekały na jego skinienie. A to, aby mu herbatę podać, a to kromkę chleba ukrająć. Męczyło go to wszystko, ale i sprawiało przyjemność. Czuł, że ten ogólny szacunek wywalczył sobie sam, a nie przez protekcję i plecy. Wreszcie wstał i powiedział grzecznie „dziękuję" i „śpijcie dobrze". Doleciało go z progu: dobranoc, wypocznij se, boś zmęczony pewno.

I znowu Putyra znalazł się na dziedzińcu. Chodził z kąta w kąt, nie chciał iść do swojej izby. Wyrywał się do Marjetty, ale nie mógł iść do niej. Raz, że bał się, co ludzie na to powiedzą, a po drugie myślał, że znowu powiedzą, że coś ukradł. Wreszcie gdy dobrze się już ściemniło i gdy upewnił się, że żadne oczy nie patrzą na niego, wślizgnął się do dyrektorskiego mieszkania.

Drzwi były otwarte. Przeszedł szybko przez przedpokój, potem prześlizgnął się przez gabinet i stanął u drzwi buduaru Marjetty. Nasłuchiwał pod drzwiami, ale nie dobiegł go żaden odgłos. Nacisnął lekko klamkę, drzwi otwarły się. W pokoju nie było nikogo. Putyra leciutko, na palcach, przeszedł pod sypialnię dziewczyny. Znowu cisza, jeszcze jedna klamka.... W pokoju było ciemno, ale Putyra wyczuł, że dziewczyna tu jest. Skierował się ku jej łóżku i wreszcie oczy, przyzwyczajone już do mroku, odkryły dziewczynę. Leżała niemal naga na kołdrze. Patrzyła z pod rzęs na Putyrę. Gdy wszedł, roześmiała się srebrzyście.

— Wiedziałam, że przyjdziesz. Musiałeś przyjść.

Putyra stanął zdumiony. Wpatrywał się w ciało dziewczyny i ciężko oddychał. Krew pulsowała mu w skroniach, ręce wyrywały się do dziewczyny. A ona jeszcze żartowała.

— Ja tylko chciałem zobaczyć... — szepnął przez wyschnięte gardło.

— Wiem, wiem, chciałeś zobaczyć, czy mi czego nie trzeba. A właśnie trzeba. Czekałam na ciebie cały dzień. Ale ty wolałeś z chłopami siedzieć nad rzeką. Chodź prędzej, chodź!

Putyra posunął się o krok. Walczył ze sobą. Przypomniał sobie to wszystko, co uświadomił sobie po tamtej, pamiętnej nocy i teraz nie chciał ulec. Wiedział, że jeśli ulegnie, to będzie koniec z nim. Na zawsze. I tak zresztą czuł się zgubiony.

— Marjetto — szepnął — zostań moją żoną. Ja nie mogę żyć bez ciebie.

— Zwarjowałeś chłopie — roześmiała się Marjeta. — Cóż jabym robiła z tobą? Nic mogłabym się pokazać nigdzie. A moje znajome? Pękałyby ze śmiechu.

— Kiedy ja cię kocham, Marjetto.

— Ja cię też kocham, ale inaczej. Tak na krótko. I ty zapomnisz o mnie. Chodź, musimy wykorzystać tę ostatnią naszą noc.

— Marjetto, ja się będę uczył, ja ci dorównam, zobaczysz, nie będziesz potrzebowała się mnie wstydzić. Dzisiaj przecież mógłbym prowadzić już całą fabrykę, dam sobie radę. Zobaczysz.

— Nie, nie, mój drogi, o tem mowy niema. Popatrz się raczej na mnie, czy nie jestem ładna?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Stefan Krasiński (Kraków).

Okropność.

Świąteczna humoreska prowincjonalna.

Kraków, 24 grudnia.

To była faktycznie okropność! Cała kamienica do rana oka nie zmrużyła i szeroko komentowano wypadek w całej okolicy. Bo żeby coś takiego w same Święta!!!

Powątpiewano nawet w autentyczność studjów miejscowego aptekarza, a pan doktór, wiadomo — farmaceucie naganiający klientów i w przyjaźni z nim żyjący, jak to bywa w prowincjonalnem miasteczku, — kiwał tylko po wszystkiem już głową i wcale nie brał w obronę swego pupila od pomady i mikstur na odciski, wogóle nie zabierając głosu w rozwiniętej na ten temat dyskusji.

Bo to było tak:

Emerytowany radca Bandzioszek, polecający swój kawalerski żywot w opiekę patronowi Szczepanowi męczennikowi, człek stateczny i wstrzemięźliwy, od lat 10-ciu nie pełniący już powinności sądowniczych, mieszkający we własnej kamieniczce na mało uczęszczanej uliczce z kuzynką swą, jako on w dziewiczym stanie żyjącą, panną z Kakolewiczów Balbiną, — wrócił do domu około godziny drugiej po północy, niezupełnie prosto trzymając się na chwiejnych nieco nogach...

Już sam powrót radcy Bandzioszka w domowe progi o tak niezwyczajnej porze był czemś nienotowanem w dziejach kamieniczki. I to jeszcze w taki mróz!

A to, że plątały mu się jakoś dziwnie nogi i że około 25-ciu minut szukał, klnąc straszliwie, zamka w bramie, a potem, gdy go wreszcie znalazł, drugie tyle klucza po wszystkich kieszeniach, to już doprawdy dawało grubo do myślenia i stanowiło epokowy wypadek w dotąd nieskazitelnym trybie życia pana radcy Szczepana Bandzioszka.

Że pan radca nie mógł dać sobie rady ze zamkiem i kluczem, że sypał gromami na cały świat i cicho śpiące miasteczko, że potem, otworzywszy nareszcie wrota swej ossesji... — ale to wszystko opowiadała na drugi dzień, a raczej w parę godzin potem, boć działo się to przecież po północy, Magda, służąca, mająca pokoik tuż nad bramą, a która została obudzona wyczynami pana rdcy, zmagającego się najpierw ze zamkiem, a później usiłującego zachować maximum ciszy, by nie wyrwać ze snu panny Balbiny, dla której, jako dzierżącej w dłoniach cugle domowych spraw, miał pan radca szczególny respekt.

My powiemy więc tylko o tem, co stanowiło preludjum do rozgrywających się wypadków, co do których oddamy później nieco głos Magdzie, jako naocznemu świadkowi. Magdzie, co ją winną tyle co i nic, od czci i wiary odsądzono.

Otóż, ponieważ dnia wczorajszego mijało dokładnie 10 lat od chwili przejścia w stan nieczynny radcy sądowego Bandzioszka i osiedlenia się jego wraz z kuzynką Balbiną w miasteczku, zebrał się komitet obywatelski pod przewodnictwem burmistrza, który uchwalił uczcić dzień takiej wyjątkowej rocznicy wielką fetą na ratuszu, a to ku czci zasłużonego Jubilata.

Zasłużonym miasteczku bo i był radca Bandzioszek.

Kazał na własny koszt w rok po osiedleniu się tamże wyczyścić z chwastów i odpadków rynek.

W jakie dwa lata znów później kazał na biało pomalować wapnem ogrodzenie targowicy miejskiej, też swym kosztem naturalnie.

A wybrukowanie czterech metrów kwadratowych przed aresztem miejskim? A postawienie przed szynkiem dwóch latarni naftowych, żeby lepiej było widać wychodzących pijaków na ich wstyd i hańbę — to nic?

A kupno do kościelnej zakrystji 3-ch lakierowanych stołów ze szufladami, to nic również?

A ofiarowanie pani burmistrzyni rasowej kaczki szkockiej, potomstwo której przyniosło miastu złoty medal na wystawie drobiu 3 lata temu, też nic?

Szczodrym człowiekiem był tedy radca Bandzioszek, jak widać z tego i z filantropnie był za pan brat!

Więc zaproszono radcę z kuzynką Balbiną na jubileuszowy raut do ratusza. Raut jubileuszowo-imieninowy.

Że zaś panna Balbina od udziału w uroczystości wymówiła się umiłowaniem samotności, — tedy pan radca sam miał zbierać życzenia i błyszczeć na honorowem miejscu przy stole, nieomlnowany zgoła.

Goniec świąteczny Okropność 2

Pan burmistrz Wyderko, persona urzędowości pełna, godność piastujący zdaje się dożywotnio bo w miasteczku nikt nikogo innego nie pamiętał na stolicy miejskiej, rozpoczął od przemowy pod adresem radcy Bandzioszka, wyjaśniając znaczenie rautu dla obecnych i miasta.

Przemów było coś około tuzina. Gęsto zapijano zdrowie fetowanego, toteż około północy pan radca pił pokolei „bruderszaft" ze wszystkimi uczestnikami bankietu, a żony i córeczki na wydaniu radnych miejskich zachwycone wprost były panem „radcusiem-dobrodziejem, solenizantem i jubilatem".

Gdy zasię na zakończenie gwoli niespodzianki odegrała ochotnicza straż ogniowa cokolwiek może fałszywie ale z ogromnym hałasem „Sto lat, sto lat!" i raz jeszcze posypały się życzenia, łzy rozczulenia stanęły w oczach pana radcy.

Podprowadzony pod obie ręce do sanek pana burmistrza, opuszczał wiwatujące grono, mocno zataczając się w prawo i w lewo; gdy jednak pomimo licznych prób nie mógł wsiąść do środka, zirytowany zwymyślał parobka, co wlazło, każąc mu jechać do wszystkich djabłów, zdecydowany drogę z ratusza do dom odbyć „per pedes apostolorum".

Uradzono go odprowadzić zatem gremialnie.

Nim jednak do uliczki z kamieniczką radcy Bandzioszka zbliżano się, pogubili się kędyś w egipskich ciemnościach śpiącego miasteczka ochotni towarzysze jubilata. Nawet sam pan burmistrz Wyderko, najdzielniej jak na pasterza trzódki przystało, trzymający się, — też ostatecznie gdzieś zniknął, jeno głuche echo śpiewanej w dali piosenki dawało świadectwo, — że rzeczywistość, w jaką popadł miejski dostojnik, nie była zła...

Sam więc jak palec stanął nareszcie radca Bandzioszek po dwugodzinnem kołowaniu u bram domostwa.

I oto zaczęła się wspomniana już historja ze zamkiem i kluczem.

Teraz oddajemy już aż do końca opowiadania głos Magdzie, trzymając się wiernie jej zwierzeń, pod przysięgą tajemnicy wyszeptanych do ucha pani Ozorowej, właścicielce interesu korzennego z naprzeciwka.

— Wlazł-ci nareszcie, kochana moja pani, — kładła w głowę pani Ozorowej Magda, — na schody, i jak nie rymnie zaraz na pierwszym stopniu! Aż zadudniało w całym domu! O wycieraczkę musiały mu się nogi zahaczyć, bo dziura w niej jest na samiuteńkim środku. Ażem struchlała. Myślę sobie pod piernatem zaraz: pewnikiem łeb se rozbił o poręcz. Trza gnać po doktora i po księdza. Taki ja z łóżka na równe nogi w samej koszuli tylko — i boso do drzwi do korytarza. A tu aż mnie ze zdziwienia zatkało! Pan radca stoi na samej górze o krok jeno ode mnie i gada coś do zgaszonej lampy na drucie i pięściami jej wygraża. Chciałam zamknąć drzwi, bom się powstydała tak w samej bieliźnie po nocy przed mężczyzną stojąca, ale pan radca już wraził nogę w korytarz i pcha się cały do mieszkania.

Co miałam robić? Po cichutku zamykam drzwi za nim, a aż mi do głowy bije alkohol od niego, pani kochana!

A ten-ci zamiast na prawo do pokojów, w te pędy na lewo do mojej izby włazi i prosto w łóżko buch!!!...

Myślałam, że mi się coś stanie! Okropność, pani kochana! Rano niedaleko, pani Balbina wnetki nos wszędzie wtykać zacznie, a tu pan radca w mojem łóżku!...

Nogi wywalił z buciskami obłoconemi na krzesło koło głowy, gdziem miała położone kiecki, i chrapie jak najęty...

A ja w bieliźnie tylko nad nim stojąca, aż mi się płakać chce, co to wyniknąć z tego może!

Obrócił się raz, obrócił za chwilę drugi raz, i nogami krzesło wywalił!

Jak nie huknie w takiej cichości nocnej! A on nic, tylko dalej śpi jak borsuk

Kucnęłam aż z bojaźni a wedle drzwi i słucham. Ano — gdzieżby zaś inaczej! Pani Balbina już na przeszpiegi... Obudziła się!

Je-je-jej! Com-ci miała, moja pani od niej!

Ze świecą w garści wlazła do mojego pokoju, z oczami jak ta sowa wybałuszonemi, w czepku na rozczochranym łbie, i aż się o ścianę oparła, gdy mnie koło drzwi w koszuli na podłodze zobaczyła, a pana radcę rozwalonego na mojem posłaniu...

Ani gęby nie mogła długą chwilę rozdziawić, tak ją otumaniło ze wszystkiem!

Najpierw, gdy oprzytomniała, dała mi lichtarzem przez łeb, a potem do pana radcy i nuże go tyrpać i drzeć!

Od dziewek mi nagadała, Lucyperem mnie straszyła i ogniem siarczanym na samem dnie piekła, a potem spodnicę mi do korytarza prasnęła i drzwi za mną zawarła.

Słyszałam, moja pani, jak pana radcę budziła i patrona jego na pomoc przyzywała.

A potem zawołała na mnie i zakazała mi się sobie do oczu patrzeć, jako też nikomu o niczem pary nie puścić!

— Ty koczkodonio, ty małpo, — powiadała, — to ja musiałam tej chwili dożyć, żeby taka jucha bezwstydna pana radcę na stare lata poczciwego kawalerskiego życia do bezeceństwa przywodziła! To ja muszę na to patrzeć, com sama od bezeceństwa ciało uchowała, i cnotliwie lat 59 przeżyła, jak taka rozpustnica własnego chlebodawcę na manowce sprowadza? Bodaj sam Lucyper grzeszne członki w smole ci smażył, kołtonie zatracony!" I dalej mnie po gębie, aż jej czepek zleciał i świeca zgasła w lichtarzu.

Że zaś pan radca nareszcie odsapnąwszy, budzić się zaczął, ciągnięty za głowę z betów przez panią Balbinę, więc ci pannica zasuszona dalej z pyskiem na mnie na nowo:

— A nie wystawaj mi tu marmuzelo, kiedy mężczyzna na ciebie patrzy nieubraną! Czemuś dotąd bluzki nie wdziała? Pana radcę bałamucić się jej zachciało, poturadło zatracone! Kobietom z drogi całe życie schodził, aż go od uczciwego prowadzenia się taka lafirynda sprowadzić musiała!"

Pan radca otworzył tymczasem oczy i zaczęła go zaraz czkawka tłamsić. Aż mu świeczki w oczach stawały!

Toć pani Balbina kazała panu radcy wody z cukrem zrychtować, żeby ze zatkanym nosem duszkiem wypił.

A no, to ja do kredensu po cukier z kluczami pani Balbiny, a ona panu radcy furt głowę trzyma, co go tak siepało.

Ledwom wyszła, a pani Balbina za mną woła:

— Magda! Tam stoi we flaszce na dole gotowana od wczoraj woda do rozcieńczenia octu na stół. Żebyś mi do cukru z konewki nie dawała, bo to źle na taką czkawkę! 3 kostki utłuczesz na miałko i ze szklanką tej wody przynoś! A zwijaj-że się! Jeszcześ tu? Skaranie boskie z takim kocmołuchem! Do romansów i grzeszenia to jest, a do roboty to ani dudu!...

Tak ja w te pędy do kredensu i łap za flaszkę i cukier. Wsypałam w kuchni stłuczony słód do szklanki i zalałam z flaszki resztę do kredensu nazad i lecę.

A pan radca blady jak trup i ręką usta se zatyka, a do ściany się obraca. A siepie nim! Łap pani Balbina szklankę i do gęby mu przytyka... Wypił.

Ledwo przełknął, jak nie wytrzeszczy oczów i nie wywali jęzora!

— Otruli mnie! — stęka. — Pali w gardle! Oddechu złapać nie mogę! Balbisiu! Magduś! Ratujcie!

„Magduś! Magduś!" — wydrwiewnia pani Balbina i znów mnie prask przez łeb.

— Widmo — powiada — musiało naturalnie między wami coś być, bo skądże mi stąd ni zowąd odrazu „Magduś!" Na zbity łeb wylecisz mi flejtuchu! Pana radcy jej się zachciało!"

Ale pan radca przez ręce leci i oczami okropnie wywraca, a gorąc od niego wali, jak z pieca.

— Po doktora mi leć i do apteki! Oleju rycynowego i senesowych strączków, a duchem! Zapłacisz za dnia!

Ogarnęłam się na łap-cap i jazda!

Ale doktora nie było. Wyjechał z wieczora i jeszcze nie wrócił. Tak ja na jednej nodze do apteki!...

Pan aptekarz spał, boć dopiero ledwo dniało przecie. Zanim wylazł do mnie, sporo czasu zmitrężyło się.

— Otruty powiadasz, pan radca? A czem? I kto? To do policji trzeba dać znać..., nie mnie.

— Ale jeszcze zipie odrobinę — powiadam.

— To wracaj do domu spytać, czem otruty. Inaczej ani rusz. A spiesz się! Otruty we Święta!...

Zziajałam się, alem w mig doleciała do domu. Pan radca aże zielony od tego otrucia i tego siepania od wnątrza.

— Doktór jest? — woła pani Balbina i patrzy na mnie jak zbój.

— Ale! — gadam — pojechał gdziesik. Alem w aptece była. Pan aptekarz musi wiedzieć wpierw, jaka była trutka.

— Jaka?! — wrzaśnie pani Balbina i pod nos mi szklankę podtyka. — Wąchaj, ty Herodzie zatracony, ty megiero (czy jakosik tak podobnie), wąchaj! Nafty nalałaś do cukru, co stała w drugiej flaszce! Czujesz?!

Prawda... naftą czuć.

— A poco pani naftę do kredensu chowa? Skąd ja mogę wiedz...

— ...Stul mi pysk w tej chwili! — zawołała pani Balbina. — Poco? Poto, że szafujesz nią jak wodą! Ty wiesz, na ile za moich czasów litr nafty wystarczyć musiał? Na dziady-by człowiek przez was garnkotłuki poszedł! Powiedz w aptece, że pan radca nafty się niechcący napił! Okropność!

Pognałam z powrotem.

— Nafty? — zdziwił się pan aptekarz. — Hm... nafty? Zaraz, zaraz... Niech-no panienka poczeka... Zobaczymy.

Otworzył powolutku jakąś grubą księgę i zaczął czytać. Za jakie 10 minut przestał czytać, podłubał w zębie zapałką i znowu czytał dalej. Ruszył jednem ramieniem, potem drugiem i pomyślawszy chwilę, wyszedł do drugiego pokoju. Zegar pokazywał czwartą. Dniało już dobrze. Gdy wskazówki pokazywały kwadrans na piątą, powrócił i znów zaczął czytać w innej, przyniesionej książce.

— Hm, — powiedział nareszcie, trąc czoło, — już samo to, że pan radca czuje się niedobrze, wymaga, żeby dać znać lekarzowi, a nie aptece...

— Kiedy ja już byłam u pana doktora, ale go niema. Wyjechał — mówię.

— To trzeba jeszcze raz iść, panienko. Może już wrócił. Ale najpierw trzeba do domu zajrzeć... Kto wie, czy pan radca jeszcze dotąd... Dużo wypadków tego rodzaju... Dużo. I wogóle.. nawet w Święta wyspać się nie dadzą.

Wyleciałam jak wściekła. Za dwie minuty byłam w domu. Pan radca już leżał na swojem łóżku, tylko był teraz na odmianę żółty jak wosk.

— A weź mi zaraz do prania — woła pani Balbina — pościel z twego pokoju i pod łóżkiem dobrze koło ściany wytrzej... Niedość, że go do bezeceństwa doprowadziła, jeszcze mu nafty dała wypić! Okropność!...

Wspomnienie.

Kraków, 24 grudnia.

...Z kątów olbrzymiej, świeżo wymiecionej i szorowanej kuchni pieniła się radość dziewek i jarzyła ciekawość kilkunastu par oczu, które tonęły w niemym zachwycie na złotym okapie szopki, ślizgały się na bogatych ornatach Trzech Króli. Z grubsza ociosany żyd z kiwającą się czarną brodą, kwiczące sprężyny kukieł, wkręconych w sosnowe deski, lisie podrygi djabła i gładko wypolerowana gęba króla Heroda, któremu wykrzywiła się na bakier złocista korona — cały ten widok krzepł w krtaniach patrzących, w jakiś gardłowy bełkot radości i szczęścia, wzruszenia połączonego z zachwytem i niecierpliwem oczekiwaniem.

A potem zaczynała się jękliwie, jak skrzyp zdartej katarynki kołysanka „Lulajże Jezuniu" przy zgiełkliwym akompanjamencie jakichś prymitywów skrzypiec i ciężkiej basetli. Wchodziła nieśmiało do kuchni, chlipała cichutkiemi westchnieniami dziewcząt i wybiegała w przeźroczystą topiel księżyca, co się panoszył nad zastygłą w świątecznej ekstazie wsią — czarodziejska, słodka kolęda.

Co roku to samo dziecinne, nieokreślone szczęście, dojrzewające z biegiem lat w zrozumienie wielkiej tajemnicy świętości rodziny i jej ciepła.

Splątana, furkocąca, kwiecistemi kieckami, bieganina dziewcząt, żar pieca piekarskiego i nabożne pochylenia nad każdą struclą, opukiwaną dokładnie i z namaszczeniem, jak chorą, delikatną z francuskiej pianki kobietę.

Niemal boska wszechobecność matki, zgarniającej rozbiegane dźwięki tej kapeli przedświątecznej w jeden zgodny rytm pracy, obiecującej niedaleką radość i wesele.

W szerokim, niskim salonie, wielka chojara prężyła się rozłożyście aż do sufitu. Wdychiwaliśmy smakowicie żywiczny zapach z roztajałych od rozpalonego kominka zielonych gałęzi. Nie wierzyliśmy, że ją to przyniósł aniołek. Zbyszek przecież omawiał z powagą tę sprawę z Onufrym i wskazywał, w której stronie lasu stoją najpiękniejsze okazy.

Ale spływała z niej jakaś srebrzysta anielskość, którą dotykaliśmy nieśmiało, gładząc kolczaste igiełki gałązek. W tych dotykach kryła się mistyczna tajemnica pojednania. Staraliśmy się przeprosić choinkę zato, że została ścięta i prędko obsypaliśmy ją klejnotami, spoczywającemi cały rok w tekturowych trumnach na strychu, w krainie pająków i nietoperzy.

A potem traciliśmy we trójkę głowy. Zbyszek zaklinał się dziecięcemi przysięgami w kącie pokoju, że pościł przez cały dzień, chociaż widzieliśmy, jak mały łakomczuch wylizywał wszystkie miski z tartego maku, żółtek, orzechów i drepcząc malemi nogami, zapytywał wszystkich pokolei, czy koniom można też dać opłatek i powtarzał sobie na głos życzenia dla rodziców. Flegmatyczny i spokojny Maryś zamartwiał się, czy jego jakiś tam nowy mechanizm na drzewko będzie sprawnie działał w odpowiedniej chwili, a we mnie kondensowały się nastroje i przeżycia wszystkich.

Wreszcie ta chwila, kiedy nam zapierało dech w piersiach.

Wznosiliśmy wysoko oczy do białych, delikatnych, wąskich dłoni matki, której łagodnie uśmiechniętą, piękną twarz przesłaniał napół-śnieżny opłatek. Przyjmowaliśmy go, jak komunię świętą.

I nic się przez tyle lat nie zmieniło nawet wtedy, kiedy Zbyszek w ułańskim mundurze przyjechał na święta. Choinka, wieczór wigilijny, kolędy, opłatek pozostały świętościami, nie wiem — uświęconemi same w sobie, czy naszem głębokiem przywiązaniem do ich niezmiennej, wiecznej tradycji.

A teraz zostało wspomnienie.

Rozniesieni po świecie, jak opadłe z choinki igliwo, zostaliśmy skazani na poniewierkę niewiadomych losów.

Ale mam tę pewność, że jeśli kiedykolwiek znajdziemy się znów, zahartowani w krwawym pożarze trudów na stal, wyjdzie z nicości zapomnienia nieokreślone szczęście dziecinnych uniesień i tłumiony bełkot serca na widok przeźroczystej bieli opłatka., który matka rozdziela między nas z wąskiego kielicha swoich rąk, jak świętą komunję.

Jokoma.

WESOŁY KĄCIK.

CZY MOŻNA CHRZCIĆ ZUPĄ?

Pewien biskup węgierski lubił stawiać klerykom przy egzaminach podchwytliwe pytania, z których wynikało niejednokrotnie zakłopotanie kandydatów. Ulubione jego pytanie brzmiało: — Czy można chrzcic zupą?

Jeden z kandydatów teologji — młodzieniec dowcipny i cięty, odpowiedział:

— Zupą, którą Wasza Eminencja jada chrzcić niepodobna, ale tą zupą, jaką nam klerykom podają w seminarjum — można chrzcić napewno.

* * *

Lessing chciał się raz przekonać o uczciwości swego sługi, zostawił więc na stole garść pieniędzy, ale zapomniał je policzyć.

* * *

Malec wrzeszczy w niebogłosy, a matka woła na służącą:

— Czemuż mu nie dasz, czego chce?

Służąca: — On chce dostać księżyc z nieba. Jakże mu go dam?